WTOREK

O warszawskim Ursynowie
przeczytasz na str. 5

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 125 18 PAŹDZIERNIKA 1977 R. CENA 1.50 ZŁ

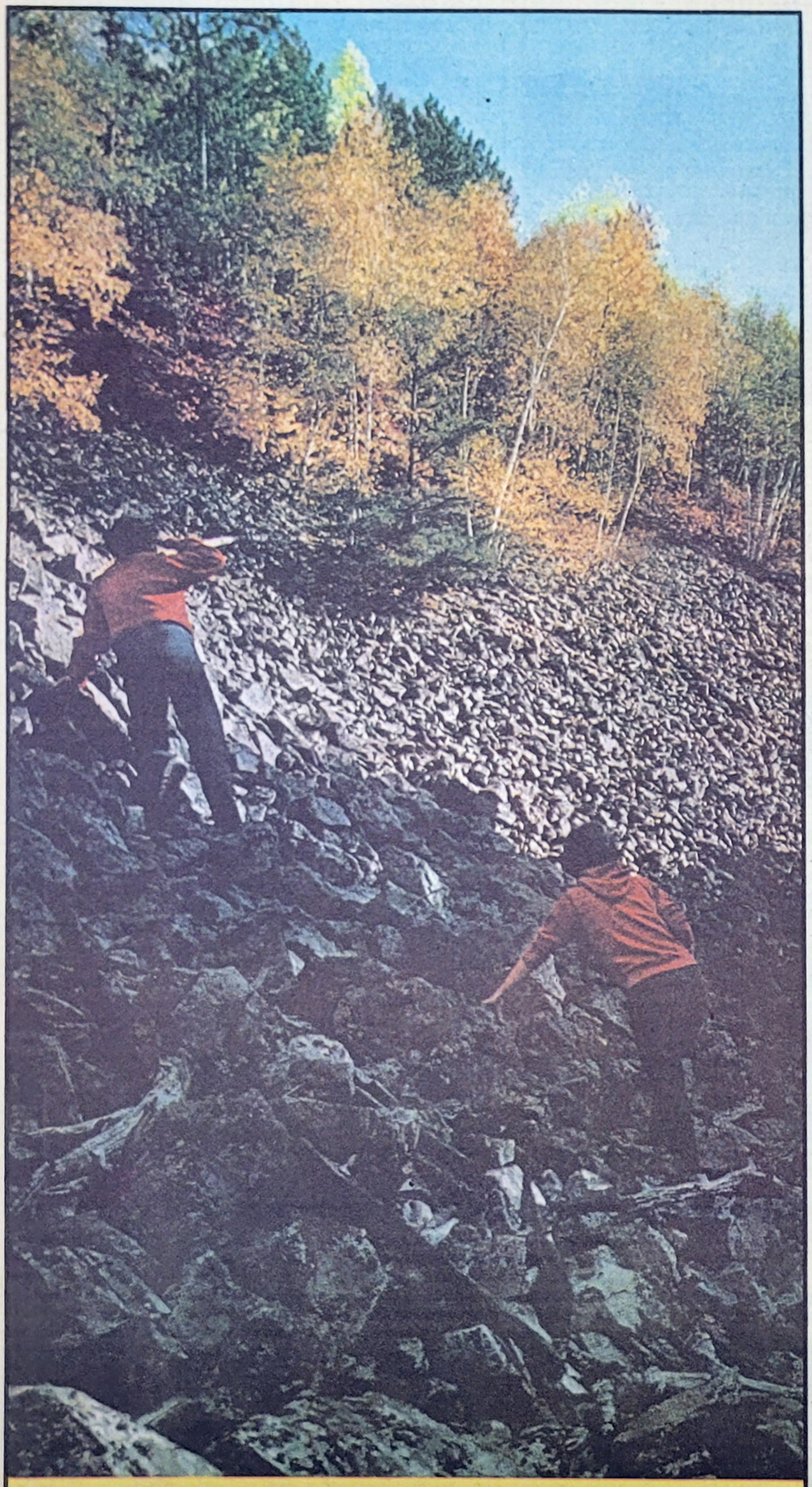

Żółkną, czerwienieją i opadają zwarzone porannymi przymrozkami liście. Jesienne słońce świeci łagodnie, wcześnie chodzi spać i późno wstaje. Ta pora roku, proszę państwa, ma sporo melancholii. Nie trzeba się jednak poddawać nastrojom. Bo chociaż jesień taka melancholijna, ma przecież sporo uroku. I to nie tylko w górach, gdzie wykonano to zdjęcie. Także w parkach i na opustoszałych polach, i zasnutych mgiełką łąkach...

Fot. **archiwum**

DNI LENINGRADU W GDAŃSKU

GDAŃSK (HSI). W Gdańsku przez cały tydzień odbywały się Dni Leningradu – miasta bohatera ZSRR. Na całotygodniowe święto składały się wystawy, odczyty, spotkania, projekcje filmów itp. imprezy mówiące o dorobku tego miasta w okresie od Rewolucji Październikowej po dzień dzisiejszy. Z tej okazji na wybrzeże gdańskie przybyli przedstawiciele z Leningradu. Harcerzy ziemi gdańskiej łączą przyjazne stosunki z pionierami i komsomolcami obwodu leningradzkiego. W ramach tej przyjaźni młodzieży odbywa się ciągła wymiana w okresie ferii zimowych i letnich.

Mirosław Nowak

AUTOBUS PRZYJAŹNI

PRZEMYŚL (HSI). Do ZSRR wyruszył młodzieżowy autobus przyjaźni z woj. przemyskiego. Uczestnicy tej wyprawy, laureaci olimpiad języka rosyjskiego, konkursów wiedzy o ZSRR i aktywiści TPPR, dotrą do Lenino, skąd pobiorą do urny ziemię z pola bitwy. Urna ta zostanie przekazana do Izby Pamięci Narodowej w Szkole Podstawowej nr 10 w Jarosławcu. W programie pobytu, oprócz Lenino, jest również zwiedzanie twierdzy brzeskiej, Mińska i Mogilewa. Po powrocie, uczestnicy autobusu przyjaźni podzielą się swoimi wrażeniami z wizyty w czasie wieczornic i spotkań. **(ap)**

Pomysł na sprzedaż

KOLUSZKI (HSI). Z ciekawą inicjatywą wystąpili uczniowie i harcerze Szkoły Podstawowej nr 1 im. Tadeusza Kościuszki w Koluszkach. Na zorganizowanej giełdzie kół zainteresowań uczestnicy poszczególnych kół reklamowali swą działalność i przedstawiali dalsze możliwości jej wzbogacenia. Barwny, jednoosobowy namiot z pełnym wyposażeniem, wyglądający z jego wnętrza harcerz, obok dwie dziewczynki w strojach turystycznych – to sceneria, w której reklamowali swe zajęcia uczniowie koła, turystyczno-krajoznawczego.

Dużo entuzjastów miało koło młodych modelarzy, którzy zaprezentowali własnoręcznie wykonane modele samolotów i zabawki elektryczne.

Fotograficy zademonstrowali bogaty sprzęt i wystawę fotografii na temat: „Szkoła w obiektywie".

Recytatorzy zachęcali hasłem „Chcesz być kiedyś aktorem, zostań dziś recytatorem".

Do współpracy z zespołem wokalnym, kolegów z dobrymi głosami zachęcał uczeń klasy VII – Mariusz Kubicki, nazywany w szkole „złotym słowikiem" kilkakrotny zwycięzca wojewódzkich eliminacji.

Powszechne zainteresowanie budzili filateliści z bogatymi, kolorowymi klaserami. (ach)

Na rynku w Oławie

OŁAWA (HSI). Na Rynku w Oławie miała miejsce niecodzienna uroczystość. Szczep Związku Harcerstwa Polskiego przy Szkole Podstawowej nr 6 otrzymał sztandar. Jednocześnie nadano mu zaszczytne imię „Drukarzy Polskich". W imprezie oprócz uczniów i dyrekcji „szóstki" uczestniczyli liczni zaproszeni goście oraz zgromadzeni mieszkańcy Oławy. **(ach)**

ŚWIĘTO LATAWCA na Przymorzu

GDAŃSK (HSI). Już po raz 19 Dom Harcerza i Aeroklub Gdański zorganizowali na Przymorzu zawody latawcowe. W zawodach wzięły udział latawce płaskie i skrzynkowe o urozmaiconych kształtach i kolorach. Tylko 13 z nich wzniosło się ponad 100 metrów. Najwyżej, bo aż na wysokość 220 m, poleciał model Piotra Młynarczyka z Brzeźna. **(ap)**

Następcy Lema w Rybniku

RYBNIK (HSI). Członkowie Klubu Młodych Astronautów, działającego od kilku lat przy filii nr 2 Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rybniku, nie tylko czytają książki fantastyczno-naukowe, ale i... sami próbują je pisać. Dotychczas napisali oni kilkadziesiąt nowel i opowiadań związanych z podbojem kosmosu. Może wśród autorów znajdzie się następca Lema... **(ap)**

O tym się mówi

W BELGRADZIE OPTYMIZM

Od kilku dni informacje nadchodzące ze stolicy Jugosławii trafiają na pierwsze strony gazet. W Europie, ale także na innych kontynentach, z ogromną uwagą obserwuje się debatę przedstawicieli 35 państw, które przed przeszło dwoma laty podpisały dokumenty Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

Dlaczego spotkanie w Belgradzie jest tak ważne? Przede wszystkim oczekuje się, że w trakcie trwającej obecnie dyskusji opracowane zostaną nowe propozycje służące umocnieniu bezpieczeństwa i zaufania w stosunkach politycznych państw naszego kontynentu. Rozważone zostaną nowe, znacznie szersze możliwości współpracy gospodarczej i naukowej. Jak wynika z pierwszych doniesień z Belgradu, większość krajów popiera radziecki wniosek zwołania europejskich kongresów poświęconych współdziałaniu w ochronie środowiska naturalnego, komunikacji, energetyki. Właśnie w tych trzech sprawach najbardziej pożądane jest wspólne działanie wielu państw. W przeciwnym razie Europa już w niedługim czasie stanie wobec niezwykle skomplikowanych problemów.

Jak dotąd z Belgradu docierają optymistyczne informacje. Spotkanie rozwija się zgodnie z wcześniej ustalonym porządkiem. W toku tzw. sesji inauguracyjnej szefowie większości delegacji wyraźnie podkreślali dążenie do uzyskania bardzo konkretnych, wymiernych wyników obrad. Taki ton wypowiedzi jest tym bardziej pocieszający, że jeszcze nie tak dawno, na zachodzie Europy i w Stanach Zjednoczonych głośno domagano się, aby w Belgradzie doprowadzić do ostrych polemik z państwami socjalistycznymi, bezpodstawnie oskarżano je o niewywiązywanie się z porozumień zawartych w Helsinkach. Na szczęście jednak przeważył zdrowy rozsądek i w Belgradzie, zamiast jałowych sporów, dyskutuje się o pokojowych perspektywach Europy.

Przedstawiciele naszego kraju biorą aktywny udział w pracach konferencji. Ambasador Marian Dobrosielski zapowiedział w swoim wystąpieniu, że nasza delegacja szeroko podejmuje problem wychowania dla pokoju; a więc wprowadzenie do programów szkolnych, do systemu wychowawczego w wielu krajach, treści, które wspierać będą i uzupełniać proces tworzenia bezpieczeństwa w Europie, zmniejszać będą uprzedzenia, jakie dzielą jeszcze szereg narodów naszego kontynentu. (kp)

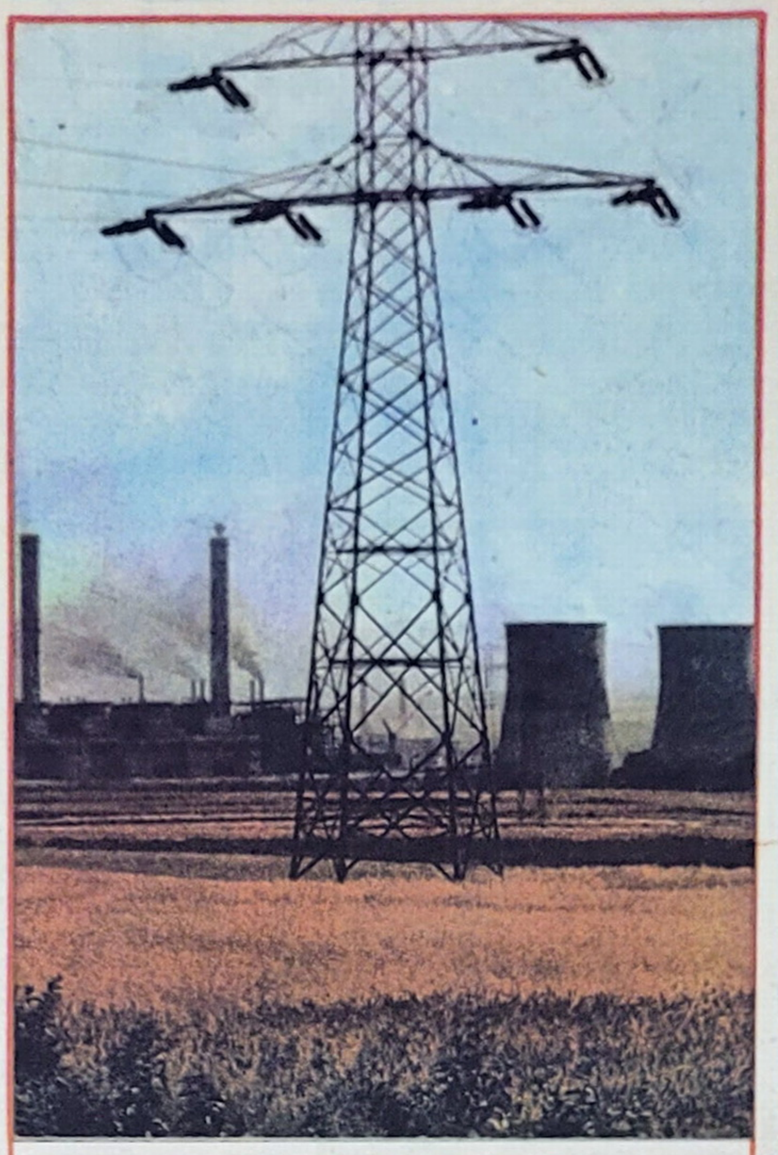

ZIMNO, ZIMNO, CIEPŁO...

Pomieszały się nam pory roku; lato bardziej przypomina jesień, a wrześniowa aura przyniosła prawie zimowe przymrozki. Dziwią nas i złoszczą pogodowe kaprysy, ale prawdziwym, najpoważniejszym zmartwieniem są one dla... energetyków. Właśnie tak! Zimowe temperatury we wrześniu oznaczają, że gwałtownie wzrośnie zużycie prądu. Wczesną jesienią nie działa przecież jeszcze centralne ogrzewanie i każdy ratuje się przed arktycznymi temperaturami włączając elektryczne grzejniki. A wtedy w elektrowniach trwają jeszcze normalne remonty turbin i urządzeń energetycznych.

Uzyskiwanie energii stało się obecnie problemem o zasięgu światowym. W wielu krajach, nawet tych najbogatszych, ogłoszone zostały specjalne programy oszczędności, uczeni poszukują nowych, bardziej wydajnych źródeł energii, a wszelkie urządzenia elektryczne konstruuje się tak, by zużywały jej jak najmniej.

Podobne kłopoty dotyczą także naszego kraju. Wprawdzie węgla mamy pod dostatkiem – a na nim oparta jest nasza energetyka – ale nie upoważnia to wcale do marnotrawstwa.

O czym wszyscy wiedzą

Od lat namawiani jesteśmy do oszczędzania energii elektrycznej. Ale najprzeróżniejsze akcje organizowane m.in. przez radio i TV przynoszą dość mierne rezultaty. Niby doskonale zdajemy sobie sprawę z wagi problemu, a jednak zgaszenie zbędnej żarówki, czy wyłączenie zupełnie niepotrzebnie pracujących urządzeń elektrycznych, nie przychodzi nam łatwo. Nie tak dawno w TV pokazano specjalny zegar obrazujący wielkość zużycia prądu przez cały kraj. Jednocześnie poproszono wszystkich telewidzów, aby każdy wyłączył w swoim domu, choć jedno urządzenie elektryczne. Na własne oczy wszyscy mogli się przekonać, jak bardzo zmniejszył się pobór prądu. Najdziwniejsze było jednak to, że zaraz po zakończeniu programu większość ludzi ponownie włączyła zbędne oświetlenie itp.

Skoro nie skutkują akcje informacyjno-wyjaśniające to w jaki sposób można uzyskać zmniejszenie zużycia prądu w gospodarstwach domowych? Gwoli ścisłości dodajmy, że nie jest ono wcale wysokie. Na ten cel wykorzystywana jest co dziesiąta kilowatogodzina wytwarzana w naszych elektrowniach. Statystyczny Polak zużywa mniej energii elektrycznej niż mieszkaniec NRD, Czechosłowacji, Bułgarii, ZSRR. Trzeba jednak pamiętać, że do naszych domów energia dostarczana jest nie tylko w formie prądu elektrycznego ale także w postaci gazu i ciepła.

Dlaczego tzw. przeciętny obywatel powinien oszczędzać prąd? Wszystkiemu winne są „szczyty poboru mocy" – godziny, w których zapotrzebowanie na energię elektryczną jest bardzo duże. Są one szczególnie uciążliwe dla naszej energetyki jesienią i zimą. Narastające w określonych godzinach zużycie prądu zmusza do maksymalnego obciążenia wszystkich agregatów w elektrowniach, uruchomienia rezerwowych, które ze względu na paliwo (np. olej napędowy) wytwarzają bardzo drogą energię. Niekiedy i to nie wystarcza i zmuszeni jesteśmy kupować prąd od sąsiadów, w ramach zintegrowanego systemu energetycznego. A za to oczywiście trzeba płacić.

Oczywiście można zbudować kilka nowych elektrowni i tym samym całkowicie pokryć zapotrzebowanie, nawet w okresie szczytu. Ale czy warto? Obliczono, że koszt zainstalowania urządzeń energetycznych wytwarzających jeden megawat wynosi około 10 mln złotych, a w najnowocześniejszych polskich elektrowniach już niedługo pracować będzie po kilka turbin o mocy 500 megawatów. Dodajmy do tego obliczenia koszty budowy nowych kopalń, wydatki na transport milionów ton węgla, budowę linii do przesyłania prądu i straty jakie te wszystkie przedsięwzięcia wywołują w środowisku naturalnym. Dopiero taki rachunek daje wyobrażenie o cenie jaką trzeba płacić za rozbudowę energetyki.

Wróćmy jednak do pytania postawionego na wstępie: skoro niezbyt przekonują ludzi nawoływania do oszczędzania prądu, to w jaki sposób, mimo wszystko uzyskiwać zmniejszenie zużycia właśnie w gospodarstwie domowym, w miastach. Droga jest bardzo prosta: należy konstruować urządzenia elektryczne, które bez pogarszania ich wartości użytkowej będą pobierały znacznie mniej prądu. Np. coraz więcej wytwarzamy urządzeń radiotechnicznych, z zastosowaniem tranzystorów, które oprócz wielu innych walorów mają i tę zaletę, że zużywają o około 50 proc. mniej prądu niż lampy. Zwykła żarówka już niedługo stanie się przeżytkiem, przyszłość należy do lamp sodowych, ksenonowych, żarówek dwuwłóknowych; będą one 3 – 4 razy oszczędniejsze. Coraz powszechniejsze staje się montowanie we wszystkich grzejnikach elektrycznych termostatów regulujących zużycie prądu stosownie do potrzeb. Takich przykładów można by wymienić znacznie więcej. Wszystkie urządzenia elektryczne nim zaczną być produkowane na dużą skalę, nim znajdą się w sklepach, muszą być poddane próbom prowadzonym m.in. przez Państwowy Inspektorat Gospodarki Paliwowo-Energetycznej.

Rozrzutne fabryki...

W PIGPE pokazywano mi zestawienia, z których wynikało, że np. w dwóch podobnych zakładach produkujących identyczny wyrób zużywa się zupełnie różne ilości energii. W jednej hucie np. do wytworzenia 1 tony rur stalowych potrzeba 85 kWh energii elektrycznej, a w innej... 479 kWh. Różnica zdumiewająca. Podobnie jest np. z produkcją cementu – w naszych najnowszych cementowniach stosowane są obecnie takie metody wytwarzania, które pozwalają na oszczędność około jednej trzeciej ilości energii koniecznej do wyprodukowania tony cementu. Bardzo często w fabrykach nie przestrzega się też zasad produkcji – np. do elektrycznego pieca do hartowania metali wkłada się tylko kilka wyrobów, zamiast wypełnić go całkowicie. Do tej listy grzechów przemysłu inspektorzy PIGPE – dodają także marnotrawstwo innych surowców, na których dostarczenie lub wyprodukowanie trzeba było zużyć energię – a więc rozrzutne gospodarowanie wodą – zbędna praca pomp, straty sprężonego powietrza itp.

Zresztą przemysł (właśnie fabrykom w pierwszej kolejności ogranicza się dostawy prądu w okresie największych obciążeń elektrowni) dość swobodnie gospodaruje energią. Kontrola, choć w ostatnich latach została mocno zaostrzona – nie jest wcale rygorystyczna. W fabrykach naszych południowych sąsiadów przy każdym urządzeniu zainstalowano specjalne liczniki, precyzyjnie rejestrujące ich pracę. I za każde niepotrzebne uruchomienie tych urządzeń zakład musi płacić wysokie kary.

Ciepło – niedoceniane bogactwo

Czy zdarzyło się by jesienią nasze mieszkania odwiedzali specjaliści z administracji, kontrolując przed zimą stan kaloryferów? Prawdopodobnie nie zdarzyło się to nigdy. A oczywiście najcieplejszym miejscem w każdym budynku jest... piwnica. Dlaczego? Proste – jest najlepiej izolowana od zimna, a poza tym „nafaszerowana" dziesiątkami często nieszczelnych przewodów centralnego ogrzewania. Najzimniej jest natomiast w mieszkaniach.

Marnotrawstwo ciepła, na którego wytworzenie trzeba zużyć wiele milionów ton węgla, to problem, który dopiero teraz zaczyna nabierać ważności. I zaniedbania w tej dziedzinie są największe. Np. „zwykłe" nieszczelności drzwi i okien – efekt fuszerskiej roboty budowlanych kosztuje nas bardzo drogo. Gdyby tylko o 15 proc. zmniejszyć straty ciepła w połowie budynków, które budujemy obecnie, to do roku 1980 zaoszczędzilibyśmy 1 mln ton węgla. Ale to tylko ostrożny rachunek – śmiało można powiedzieć, że przez niedbalstwo budowlanych w elektrociepłowniach spala się niepotrzebnie około 2 mln ton węgla. Około 2 tys. kotłów pracujących w naszym kraju ma sprawność o 25 proc. niższą od możliwej do osiągnięcia. To też pociąga za sobą ogromne straty ciepła.

Oszczędne gospodarowanie energią cieplną staje się więc dziś absolutną koniecznością. W przeciwnym razie kraj czekają ogromne i całkiem niepotrzebne wydatki. Już teraz jedna czwarta paliw zużywanych w Polsce idzie na produkcję ciepła. A potrzeby rosną błyskawicznie. Do roku 1980 trzeba podwoić moc urządzeń ciepłowniczych pracujących dla miast. Oznacza to wydanie miliardów złotych na budowę ciepłowni, wydobycie węgla i jego transport. Nie stać nas na rozrzutność.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

Fot. archiwum

TWO

Duże brawa dla tatusia!

To zupełnie normalne, że człowiek chciałby pokazać wszem i wobec, jak wiele jest wart. Sobie też ma ochotę to pokazać, ale innym częściej. Żeby go podziwiali, żeby mu troszkę (albo i nie troszkę) zazdrościli, żeby docenili, że nie byle kto on jest, ale ho-ho! Samo w sobie nie ma to dążenie nic zdrożnego. W gruncie rzeczy bowiem, chociaż motywy nie są najszlachetniejsze, człowiek się w ten sposób samodoskonali – zdobywa wiedzę, nabywa umiejętności, przezwycięża swoje słabości. Zjawisko to zaczyna być natomiast groźne wtedy, gdy środki, którymi zdąża do celu, są nie fair, gdy zamiast samemu popracować nad sobą, chciałby ten cel osiągnąć bez wysiłku, psim swędem – jak to się potocznie mówi.

Okazję do takiej właśnie postawy stwarzają różnego rodzaju konkursy, których warunki zakładają wykonanie jakiejś pracy konkursowej. Jasne, że każdy, kto do konkursu przystępuje, chciałby, żeby jego praca była możliwie najlepsza – tylko jej wysoka jakość gwarantuje zdobycie nagrody, a co za tym idzie uznanie najbliższego otoczenia. Ta chęć jest zrozumiała. Tylko, że różni ludzie różnie ją realizują. Jedno mocno główkują, wysilają się, wkładają dużo wysiłku w swoje dzieło, inni – dochodzą do wniosku, że po co się wysilać, kiedy i bez wysiłku można osiągnąć sukces.

Kilka dni temu dobiegł końca pierwszy etap tegorocznego Wielkiego Konkursu Turniejowego „Przyjaźń nie zna granic". Polegał on na napisaniu pracy (listu do przyjaciela lub opowiadania) w języku rosyjskim. Nadeszło tych prac kilka tysięcy. Właściwie dużo więcej niż się spodziewaliśmy – to cieszy. Ale jest i druga strona medalu, która martwi! Bardzo dużo tych prac jest pracami niesamodzielnymi!

Kilkaset osób spośród uczestników konkursu ma serdeczną przyjaciółkę w Związku Radzieckim, przyjaciółka ma na imię Wala i mieszka w Bracku. Hm, cóż – Brack jest dużym miastem i na pewno mieszka w nim kilkaset dziewcząt o tym właśnie imieniu, ale czy wszystkie z nich mają korespondencyjnych przyjaciół w Polsce?! Śmieszna sprawa z tą Walą z Bracka! A właściwie zupełnie prosta – jest taka czytanka w książce do rosyjskiego, cóż prostszego jak przepisać ją od „A" do „Z", przynajmniej żadnego błędu nie będzie, praca będzie doskonała, nagroda murowana. Co najzabawniejsze, na identyczny pomysł wpadło kilkaset różnych osób – pogratulować doskonałego pomysłu!

Z listów uczestników konkursu dowiedzieliśmy się również, że w większości pochodzą z rodzin... czteroosobowych – „tata, mama, ja i siostra". Kolejny zbieg okoliczności?! Nic podobnego, tymi właśnie słowami zaczyna się inna z czytanek.

To są dwa najpowszechniejsze „przewinienia" dyskwalifikujące z góry ponad połowę nadesłanych prac. Ich autorzy (głównie autorki) wydali zupełnie niepotrzebnie kilka tysięcy złotych (liczba listów pomnożona przez wartość znaczków pocztowych), a jury zupełnie niepotrzebnie straciło mnóstwo godzin czasu – każdy z nas bowiem doskonale wie, że książki do rosyjskiego są ciekawie redagowane, nie musieli więc ich uczestnicy konkursu przepisywać.

Ale „przepisywacze" to grupa – choć największa – najbardziej naiwna, „świetny pomysł" natychmiast został wykryty. Dużo więcej kłopotu sprawili nam uczestnicy korzystający z nadmiernej pomocy mamy, taty, starszego brata czy siostry. Wśród nich tylko jeden okazał się tak naiwny (a może – leniwy?), że nie chciało mu się nawet przepisać własnoręcznie cudzej pracy. Kopertę zaadresował sam, sam napisał krótki liścik wyjaśniający, do jakiej szkoły i której klasy chodzi, a do tego dołączył list w języku rosyjskim, napisany zupełnie innym, bardzo wyrobionym charakterem pisma. Ciekawy, faktycznie – duże brawa dla tatusia!

Chciałoby się w tym momencie zawołać – ludzie, jak już macie oszukiwać, to oszukujcie mądrze! Tylko, że byłoby to wezwanie okropnie niepedagogiczne. Więc nie wołamy. Zamiast tego chcielibyśmy Was poinformować, że na konkurs nadeszło również bardzo wiele, bardzo interesujących prac napisanych samodzielnie. I ich autorom – ogromnie w tym miejscu dziękujemy. Za to, że pokazali – i nam, i sobie samym – że naprawdę stać ich na wiele.

EWA KŁOSIEWICZ

REDAKCYJNA POCZTA

Chcemy być lepsi

Jesteśmy uczniami VIII kl. szkoły podstawowej w Kamiennej Górze przy ul. Rosenbergów 1. Danego dnia cała szkoła miała pójść do kina. Każda klasa miała zapowiedzianą zbiórkę pieniędzy na ten cel. My, możliwe, że przez nieuwagę, nie dowiedzieliśmy się o tym. Gdy nadszedł dzień pójścia do kina, nasza klasa nie chcąc być gorsza od innych zebrała w ciągu przerwy pieniądze i chciała je dać pani dyrektor. Byliśmy bardzo rozżaleni, bo pani dyrektor pieniędzy nie przyjęła. Tłumaczyliśmy, że nic nie wiedzieliśmy o zbiórce pieniędzy. Klamka zapadła. Zostaliśmy za karę w szkole i robiliśmy porządki. Dowiedzieliśmy się przy okazji, że jesteśmy najgorszą klasą i jako najstarsi powinniśmy nieść pomoc a nie utrudniać prace w szkole. Nie wiemy teraz co robić, aby opinia o naszej klasie została zmieniona. Może inni uczniowie nam podpowiedzą?

kl. VIIIb.

Mamy niezawodnego przyjaciela

Jest nim Robek Kot z ul. Bieruta, uczeń Zasadniczej Szkoły Radiotechnicznej. Jest harcerzem, gra na trąbce w orkiestrze, zna ciekawe zabawy i umie się z nami bawić. Potrafi zrobić wszystko. Ostatnio naprawił nawet nasze stare radio, w którym brakowało sporo części. Lubimy go bardzo i gdy któregoś dnia nie może do nas przyjść, jest nam smutno. Chcielibyśmy mieć więcej takich przyjaciół.

Wychowankowie II grupy Państwowego Domu Dziecka w Pieszycach, woj. wałbrzyskie

Uwaga Ochotnica Dolna!

„W załatwieniu notatki prasowej pt. „Prosimy o lepsze połączenie" zamieszczonej w 72 numerze „ŚM" z dnia 16.06.1977 r. Przedsiębiorstwo PKS-Oddział w Nowym Sączu podaje uprzejmie, że w wyniku reorganizacji administracji państwowej uruchomiono z dniem 22.05.1977 r. nową linię autobusową Nowy Sącz – Ochotnica Dolna. Na linii tej wykonywane są 4 kursy dziennie (poza godzinami szczytów przewozowych). Powyższe nastąpiło na wniosek mieszkańców Ochotnicy i za zgodą Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu. Brak zwiększonych dostaw taborowych uniemożliwia wprowadzenie dalszych kursów z zabezpieczeniem dogodnej komunikacji dla młodzieży szkolnej.

Oczekujemy więc na wnioski władz terenowych dot. proponowanych zmian i połączeń komunikacyjnych, które będą rozpatrywane przy opracowaniu rozkładu jazdy autobusów na lata 1978/79. Dodajemy, że do chwili obecnej tut. Oddział PKS nie otrzymywał żadnych wniosków w przedmiotowej sprawie."

Z-ca dyrektora ds. Przewozów i Spedycji mgr Władysław Krok

OD REDAKCJI: Jak wynika z treści pisma autorki interwencji skierowanej do naszej redakcji, powinny zwrócić się do Gminnej Rady Narodowej, aby ta wystąpiła w ich imieniu do PKS w Nowym Sączu z wnioskiem o zmianę godzin w rozkładzie jazdy. Proponujemy, abyście udając się do gminy, zaopatrzyły się w potwierdzenie ze strony szkoły (na piśmie), o której rozpoczynacie naukę.

RAPORT w sprawie WC

Właściwie to zupełnie nie wiem, co sądzić o całej tej sprawie, która w formie rozpaczliwego komunikatu dotarła do redakcji. Oto w jednej ze szkół podstawowych wychowawca, a zarazem nauczyciel języka polskiego w klasie siódmej „b" – starszy pan, stosuje wobec uczniów poniżającą ich zdaniem karę, jaką jest mycie ubikacji. A ponieważ oni sami są zupełnie bezradni, więc proszą redakcję o ratunek.

Jechałam na spotkanie z wychowawcą-tyranem, myśląc przez cały czas dość jednoznacznie o ponurym dramacie, jaki rozgrywa się w dostojnych murach szkoły. Tymczasem na miejscu historia okazała się o wiele bardziej skomplikowana niż przypuszczałam...

W GABINECIE DYREKTORKI

Dyrektorka: Nie wiem, czy pani dobrze trafiła, bo tu u nas jest tylko jedna siódma klasa – siódma „a" i nie ma tam żadnego wychowawcy, tylko wychowawczyni, a polskiego uczy właśnie koleżanka.

Polonistka: Otóż trudności, jakie występują ze zwalczaniem nałogu palenia papierosów są w naszej szkole jedyne i od września nie wystąpiły innego typu trudności, a żadnych spraw konfliktowych na linii nauczyciel–klasa siódma nie obserwowałam i nie słyszałam. Poza tym rodzice przychodzą na wywiadówki i współpraca, jak się orientuję, układa się też dobrze. Rodzice chętnie się ze mną kontaktują, nie tylko z wychowawcą, i tu wszystko odbywa się na zasadzie wzajemnego zrozumienia. Tak, wzajemnego zrozumienia i współdziałania. Oni nas szanują, bo my dla nich też mamy szacunek. Jak zbliża się wrzesień, to tu dużo rodziców przychodzi do pani dyrektor z prośbą o przyjęcie do tej właśnie szkoły (pauza). No, przypuszczam, że z uwagi na dobre warunki.

Wychowawczyni: Ja tu już nawet dziennik przyniosłam, proszę bardzo – mam trzydziestu czterech uczniów, w tym kilku nałogowych palaczy, takich, że właściwie nie muszę prosić, żeby jeden z drugim chuchali, bo czuć na kilometr. Tych trzech to mi zaczyna demoralizować klasę, bo widzę, że inni też zaczynają popalać...

Dyrektorka: No nie, właściwie nie można powiedzieć, że demoralizują. To są stale te same osoby, przerośnięci, co to mieli już do czynienia z milicją. O, proszę, ten to już dawno powinien skończyć podstawówkę – 61 rocznik przecież, a trzyma się go jeszcze w szkole. W tym roku to nawet ma niezłą frekwencję – na razie choć tyle się poprawił!

Wychowawczyni: Tak, na skutek naszej postawy część uczniów się zmieniła. Taki Kotkowski na przykład już nie pali, a przynajmniej ja nie czuję. Raz tylko musiałam ostro interweniować, no bo wchodzę do klasy, a oni przypalają zapałki i strzelają w sufit tak, że cały był w plamach. To ja im mówię: jak to wygląda, postanówcie, co z tym zrobicie, a oni na to: niech się pani nie martwi, już my to jakoś załatwimy. I szybko je pościerali. Nawet nie wiem jak, bo poszłam na zwolnienie.

Dyrektorka: Ja uważam, że ich trzeba do tej pracy zmuszać!

Polonistka: Ale my tego nie traktujemy jako kary, tylko jako wychowanie przez pracę. I to wychowanie przez pracę dotyczy nie tylko uporządkowania ubikacji przez palaczy, ale też wychodzimy na teren szkoły. Myślę, że w tej właśnie klasie sprawa ta została szczególnie mocno postawiona. Świadczy o tym chociażby fakt, że dyżurni zwracają się nieraz do mnie, czy mogą na przerwie uporządkować klasę. A zdarza się też, że proszą z korytarza tych, którzy zostawili pod ławką nieporządek. Nie wychowawca więc nakazuje, tylko oni sami pilnują.

Wychowawczyni: Oni nawet wolą malować czy sprzątać niż siedzieć na lekcji. Czasami jak się rozpędzą, to

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

Magia szkła

Człowiek od 4000 lat umie wytwarzać szkło, rozciągać je, wydmuchiwać, walcować i formować na gorąco, trawić, rzeźbić, powlekać metalem lub – po ostudzeniu – szlifować jak szlachetne kamienie.

W starożytności szkło artystyczne miało ogromną wartość. Okazy z kolekcji Kleopatry sprzedawano z licytacji po 70 000 sestercji.

W średniowieczu szkło było niemal przedmiotem misteriów, budziło silnie namiętności; alchemicy próbowali wyczarować magiczne lustra, rzemieślników karano śmiercią za zdradę sekretu wytwarzania. Dopiero rewolucja przemysłowa zdegradowała szkło do rangi powszedniości.

Jak wiadomo, formowanie masy szklanej musi się odbywać w bardzo wysokich temperaturach i w bardzo szybkim tempie, toteż zawsze robiły to ekipy rzemieślników w hutach, według wzorów opracowanych przez projektantów.

Szkło w większym nawet stopniu niż glina nabiera życia i kształtu w toku obróbki, ze względu na możliwości wykorzystania światła i kolorów stanowi idealne tworzywo dla artysty. Przed 15 laty w Toledo (USA) przy poparciu Uniwersytetu Wisconsin oraz Muzeum Sztuki zorganizowano eksperymentalną pracownię, w której dmuchaczami są artyści. Obecnie w Ameryce 50 uniwersytetów i szkół artystycznych kształci projektantów i plastyków w sztuce obróbki masy szklanej. Dziś już dziesiątki, a może nawet setki „wyzwolonych" artystów pojedynczo lub w dwuosobowych zespołach uprawiają tę gałąź sztuki.

Oczywiście, większość wyrobów szklanych produkuje się automatycznie. Nawet wiele wyrobów reklamowanych jako „ręcznie wydmuchiwane" w rzeczywistości powstaje w formach. Niemal wszystkie wyroby mają charakter użytkowy – są to przeważnie rozmaitego kształtu naczynia. Dopiero z upowszechnieniem współczesnej plastyki szklanej artyści zaczęli projektować dzieła nie nadające się do produkcji masowej, a także niefunkcjonalne np. wazon skręcony tak, że nie można do niego wlać wody, ale zadowalający estetyczną wrażliwość. (dr)

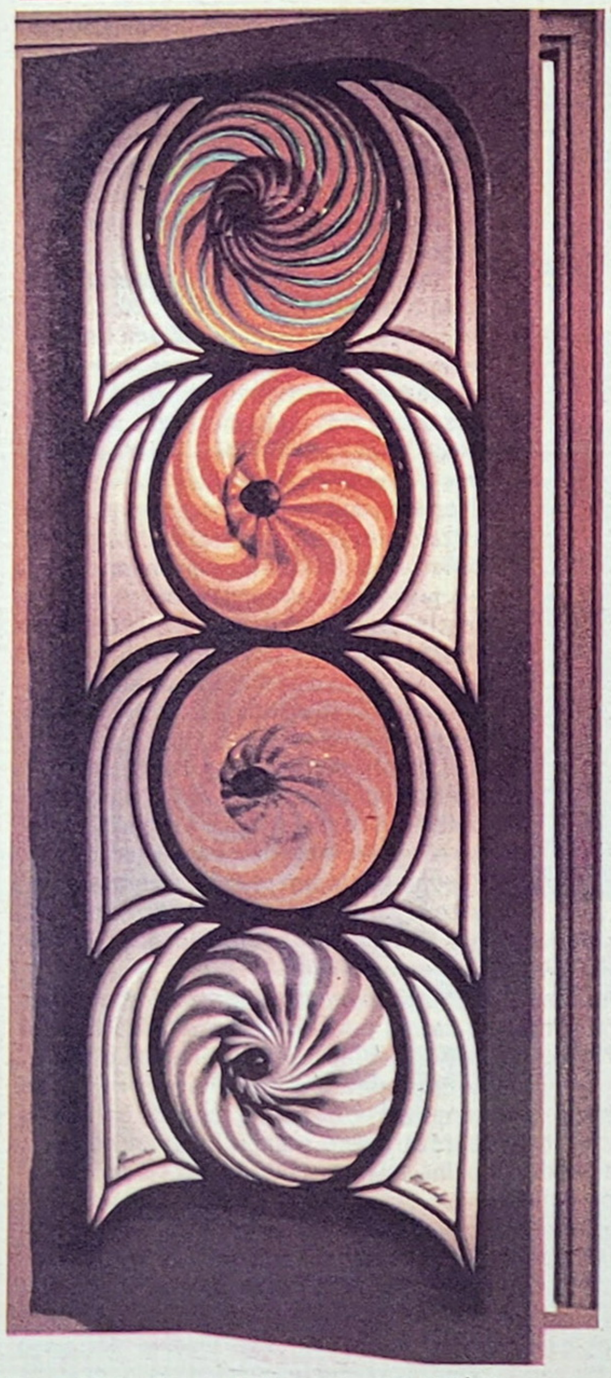

Przeszklone drzwi – J. Carpenter i D. Chihuly

Pożoga – (wazon) – D. Labino

Neonowe pałąki (50 cm dł.) – P. Seide

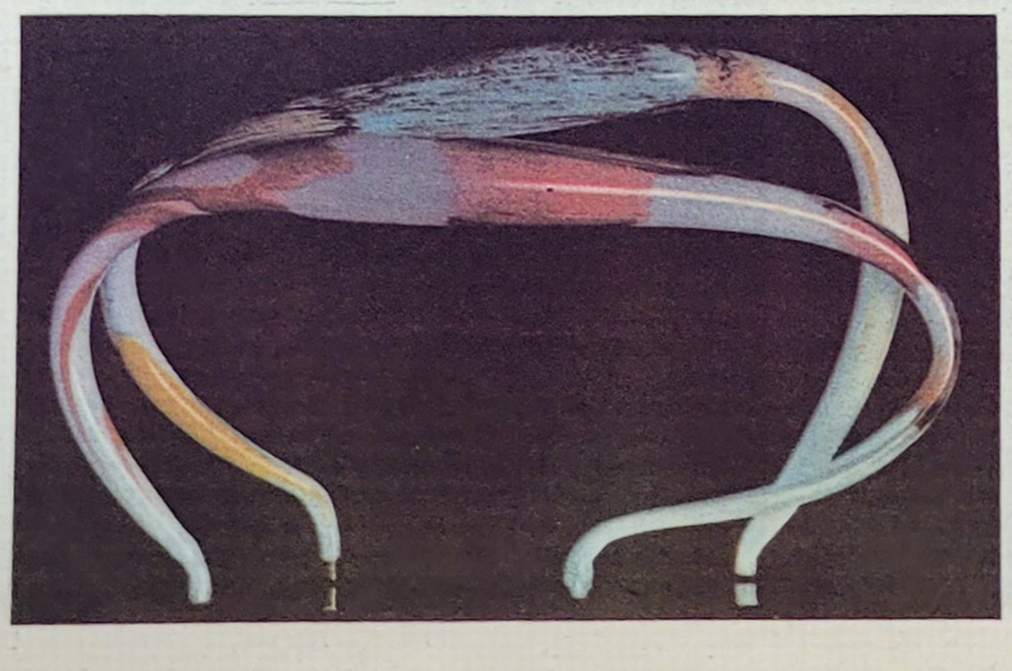

Łuk kryształowy (wys. 38 cm) M. Littleton (pionierski założyciel w Ameryce pracowni szkła artystycznego)

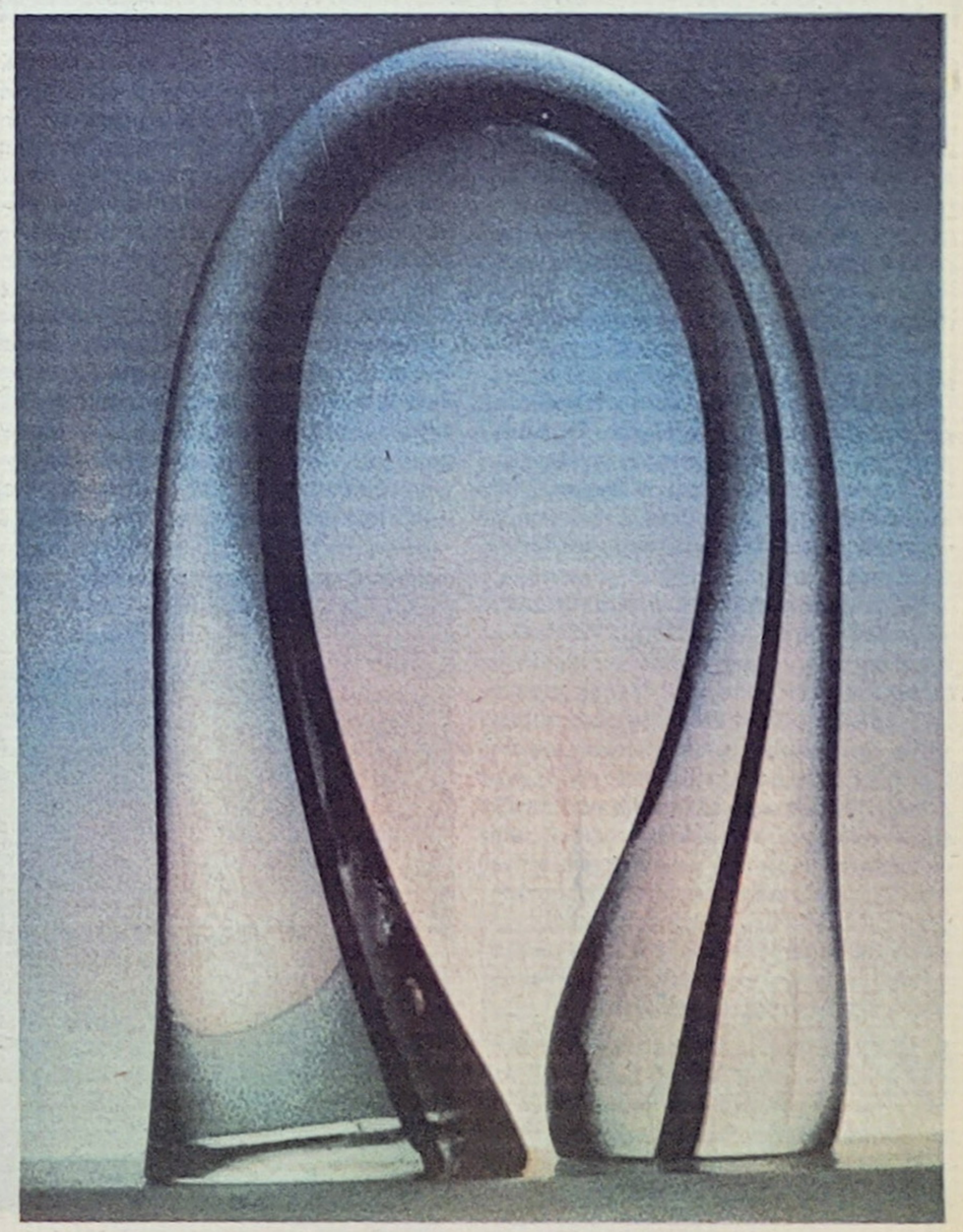

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

później nie można ich zagonić z powrotem do nauki.

Dyrektorka: I nie mają o to do nas żalu czy pretensji. To jest normalna praca porządkowa!

Polonistka: No właśnie, pracę fizyczną traktują zupełnie naturalnie.

Zgoda. Ja też ją tak traktuję, ale ktoś tu chyba coś pokręcił! Bo przecież jeśli praca ma istotnie pomagać w wychowaniu, to nie powinno stosować się jej jako kary za najróżniejsze uczniowskie przewinienia. Nie jestem też wcale taka pewna, czy sprzątanie ubikacji jest najwłaściwszą kuracją odwykową dla amatorów papieroska i skuteczną metodą odstraszającą innych. Czy klasa siódma „a" nie ma o to do nauczycieli żalu i pretensji, tego na sto procent także nie wiem, ale przecież gdyby było tak, jak twierdzi dyrektorka, nie siedziałabym teraz w jej gabinecie!

DOMYSŁY, CZYLI PRAWIE ŻE ŚLEDZTWO

Dyrektorka: Mnie tylko interesuje jedno. Czy to była skarga zbiorowa, czy indywidualna, czy to rodzice, czy

RAPORT w sprawie WC

któryś z nich, bo ja mam w tej chwili dziennik, patrzę na nazwiska i ani rusz nie mogę trafić, kto to może być!

Polonistka: Koleżanko (to do wychowawczyni), czy na zebraniu rodziców miała koleżanka taki przypadek, żeby jakiś rodzic zakwestionował tę formę?

Wychowawczyni: Nie, raczej wszyscy byli do mnie mile ustosunkowani i w ogóle nie mają nic przeciwko, ale sądzę, że tak mogli napisać ci, którzy nie byli w to zamieszani, ale pomyśleli: do czego to podobne, żeby uczniowie myli w szkole ubikację! A przecież nie było żadnego mycia!

Dyrektorka: Było, pani Zosiu! Tylko pani wtedy nie było. Ja ich sama nakryłam na paleniu i dlatego kazałam sprzątać, ale to było tylko ten jeden raz!

Polonistka: Jeżeli więc przyjmiemy, że sprawa dotyczy naszej szkoły...

Dyrektorka: Na pewno naszej...

Polonistka: ...to autorem musiał być ktoś spoza środowiska szkolnego, bo nie wie, kto jest wychowawcą...

Dyrektorka: Ja też uważam, że dziecko tego chyba nie zrobiło, ale raczej osoba dorosła. Zaraz, zaraz popatrzymy jeszcze raz w dziennik...

No i po co to wszystko! Przecież ja tu przyjechałam nie w celu wytropienia „donosiciela", któremu będzie można później dać porządnie w kość tak, aby raz na zawsze odechciało mu się skarg na nauczycieli! Jeśli już czegoś wspólnie szukać, to raczej metod postępowania, które w przyszłości pomogłyby wyeliminować z życia szkoły tego rodzaju kłopoty. Bo takie wieści, jak ta, społeczności szkolnej chluby nie przynoszą.

Wychowawczyni: Przepraszam bardzo, ale muszę na lekcję. Dziękuję za spotkanie z redaktorem, szkoda tylko, że w takiej nieprzyjemnej sprawie. Ale dobrze, że chociaż trochę się wyjaśniło, bo dzieci wszystko potrafią zmyślić.

Dyrektorka: Ja sądzę, że oni to zrobili po prostu z ciekawości, czy ktoś przyjedzie. Tylko dlaczego nie przyszli z tym najpierw do mnie?... A może chce pani z nimi porozmawiać.

W KLASIE

Głos I: Jasne, że palimy, ale wcale nie tak dużo!

Głos II: Nie zawsze jest forsa (westchnienie), bo mamusia nie daje i trzeba kombinować...

Głos III: Najwięcej fajek idzie po przeżyciach. Jak się człowiek zdenerwuje, to musi zapalić. No nie?

Głos IV: Ja tam palę dla przyjemności!

Głos V: Tylko nie ma gdzie. Nauczyciel jak złapie, to zaraz każe ubikację szorować. O, ten już mył dwa razy!

Głosy: Ha, ha, ha.

No tak, salwy śmiechu przez następne dziesięć minut i przechwałki w tym samym stylu jedna przez drugą.

Czytelnik, który dobrnął do tego miejsca, spodziewa się zapewne zgrabnego podsumowania, które pomoże mu zająć jedynie słuszne stanowisko w tym całym zamieszaniu. Otóż chyba nie doczeka się! Bo ja sama chciałabym ostatecznie wiedzieć, czy pełne świętego oburzenia – zapewne szczere – doniesienie o straszliwej karze mycia ubikacji należy traktować poważnie. Wszak niedługo potem – w czasie mojej wizyty w klasie, całe to wydarzenie uczniowie zupełnie zbagatelizowali, tak że stało się ono powodem do popisu dla klasowych żartownisiów. Jeżeli o mnie chodzi, nadal również jestem pełna wątpliwości, czy karanie pracą fizyczną przynosi zawsze zamierzony skutek. Jeśli w ubikacji panuje nieporządek – niech ją uczniowie sprzątają, ale nie traktujmy tego do licha jako kary, gdyż wtedy wspaniałe hasło: „Żadna praca nie hańbi" w ogóle nie ma sensu. Idąc bowiem dalej tym tropem dojdziemy wkrótce do wniosku, że najwłaściwszą pokutą za kolejny uczniowski wybryk będzie staranne wypucowanie autostrady Wrocław–Legnica.

TERESA MACISZEWSKA

Ze stolicy Filipin pisze Magdalena Klarner-Sniadowska

MABUHAY NG PILIPINAS

— Przed chwilą wylądowaliśmy na Międzynarodowym Lotnisku w Manili – oznajmia przez głośniki stewardesa. Gdy wychodzę z przyjemnie chłodnego, klimatyzowanego wnętrza smolotu, uderza mnie gorący, duszny powiew i charakterystyczny zapach będący połączeniem zapachu spalin, morza, suszonych ryb, tanich jadłodajni, w których potrawy przyrządza się wprost na ulicy. Wrażenie, że powietrze jest nie tylko gorące, ale niemal lepkie i gęste od wilgoci, będzie mi towarzyszyć przez cały czas pobytu w Manili. Nic dziwnego, wszak miasto to jest położone w pobliżu równoleżnika odpowiadającego 14° szerokości geograficznej północnej, w strefie klimatu tropikalnego, gdzie zawsze jest upalnie.

Tak więc jestem w Manili, jednym z największych miast Dalekiego Wschodu, a największym na wyspach archipelagu filipińskiego. W roku 1948 Manila straciła statut stolicy Filipin, która została przeniesiona do położonego niedaleko Quezon City. W ostatnich latach Quezon City podobnie jak kilkanaście innych podmanilskich miasteczek i osiedli rozrosło się w szybkim tempie i razem z właściwą Manilą, utrzymaną w niezmienionych granicach administracyjnych, utworzyło jedną, rozległą metropolię liczącą ponad cztery miliony mieszkańców, oficjalnie nazywaną Metropolitan Manila.

Manila jest położona na dużej wyspie Luzon, której powierzchnia jest równa niemal jednej trzeciej terytorium Polski, nad malowniczą, głęboko wciętą zatoką. Wzdłuż brzegu tej zatoki ciągnie się bulwar Roxas, będący dla mnie najpiękniejszą ulicą miasta, pierwszą, którą poznałam jadąc z lotniska do centrum. Wracałam tam potem wielokrotnie. Ocieniony palmami bulwar jest popularnym miejscem niedzielnych i wieczornych spacerów. Świeży powiew wiatru od morza przynosi zawsze przyjemne ochłodzenie, a piękne, codziennie nieco inne zachody słońca nad zatoką tworzą malowniczą scenerię.

Z bulwaru widać statki stojące na redzie w zatoce oczekując na wejście do portu. Port manilski jest jednym z najważniejszych w tej części kontynentu azjatyckiego, można w nim spotkać statki przypływające ze wszystkich stron. Filipiny – kraj wyspiarski – łączność z resztą świata utrzymuje jedynie drogą powietrzną lub morską. I tak jak lotnisko w Manili jest głównym oknem na świat dla ruchu pasażerskiego, przez manilski port przechodzi zdecydowana większość towarów przesyłanych do i wysyłanych z Filipin.

Bulwar Roxas jedną stroną przylega do morza, po drugiej stronie stoją wzdłuż niego jeden za drugim eleganckie hotele, rezydencje, piękne, klimatyzowane gmachy banków i ambasad. Nowoczesne budownictwo w Manili z ostatnich kilkunastu czy dwudziestu paru lat szczyci się wieloma interesującymi rozwiązaniami, które podziwiać można w różnych częściach miasta. Najmłodsza dzielnica metropolii manilskiej, ciągle rozbudowująca się – Makati, jest największym skupiskiem wspaniałych budowli ze stali, betonu, aluminium i szkła.

Stolica Filipin jest jednym z tych miast azjatyckich, w których kontrasty bogactwa i nędzy, najnowszych zdobyczy cywilizacji i prymitywności należą do najjaskrawszych.

I tak rozległe dzielnice mieszkaniowe mają zupełnie inny charakter, zabudowane są niewielkimi, parterowymi lub jednopiętrowymi, drewnianymi domkami. Filipińczycy niechętnie mieszkają w kamienicach czy blokach wielopiętrowych i tego typu budownictwo nie ma żadnej tradycji w tym kraju. Każdy Filipińczyk chce mieć własny domek, chociażby najskromniejszy. Niestety, dla wielu mieszkańców Manili spełnieniem tego marzenia jest chatka sklecona z desek, płatów blachy, kawałków dykty itp., nie tylko pozbawiona najprymitywniejszych wygód, ale też zazwyczaj bardzo przeludniona. W takich warunkach żyją setki tysięcy ludzi.

Czynione są pewne próby rozwiązania problemu mieszkaniowego metropolii manilskiej, opracowuje się projekty taniego budownictwa zapewniającego niezbędne minimum wygód, a zarazem dostępnego dla najmniej zamożnych ludzi, ale na razie jest to przysłowiowa kropla w morzu potrzeb.

Najciekawsze, najbardziej egzotyczne, o każdej porze dnia pełne życia i ruchu były dla mnie dzielnice handlowe Manili, przede wszystkim tzw. Downtown. Uliczki tam wąskie, hałaśliwe, zatłoczone. Sklepy bardzo często szeroko otwarte na ulicę, pełne towarów filipińskich i importowanych: japońskich, chińskich, amerykańskich. Wśród przechodniów uwijają się uliczni sprzedawcy oferujący owoce: banany, ananasy i mango, słodkie bułeczki i słone orzeszki, gazety i losy loteryjne. Niektórzy z nich swe towary rozkładają wprost na chodnikach i głośnym nawoływaniem zachęcają do kupowania.

Na jezdniach nieprzerwane sznury pojazdów, a między nimi zwracają uwagę niewielkie, kolorowe jeepney'e przypominające coś pośredniego między samochodem terenowym a mikrobusem, o karoserii bogato zdobionej malowidłami, udekorowane pękami wstążek, barwnymi firaneczkami, figurkami itp. Jeepney'e to obok autobusów jedyny środek komunikacji miejskiej w Manili, popularny również w innych częściach kraju.

Manila położona jest na obu brzegach rzeki Pasig, w pobliżu jej ujścia do Zatoki Manilskiej. Miasto zostało założone przez Hiszpanów w końcu XVI wieku na miejscu zniszczonej osady ludności tubylczej. Były to początki ponad 300-letniego panowania hiszpańskiego na Filipinach. Ta najstarsza część Manili nazywana Intramuros, otoczona murami obronnymi, zbudowana według starannie przygotowanych planów, została niestety, tak jak i całe miasto, doszczętnie zniszczona w czasie działań wojennych II wojny światowej. W przeciwieństwie do losów warszawskiej czy gdańskiej Starówki nie doczekała i prawdopodobnie nigdy nie doczeka się odbudowy.

Wojna, a także niszczycielskie tajfuny i trzęsienia ziemi z większą lub mniejszą intensywnością nawiedzające co roku Filipiny spowodowały, że mimo iż historia Manili liczy ponad 400 lat, poza paroma kościołami oraz szczątkami murów i fortyfikacji wokół Intramuros nie zachowały się żadne zabytki architektury minionej przeszłości.

Długo można opisywać uroki, ciekawostki, problemy, historię i dzień dzisiejszy metropolii manilskiej. Gdy wspominam ją, to dochodzę do wniosku, że najprzyjemniejsze wrażenie, jakie mi stamtąd zostało, to wspomnienie jego mieszkańców. Czarnowłosych i czarnookich dzieci, pełnych wdzięku, zawsze uśmiechniętych, ufnych wobec każdego. Uczennic, co rano śpieszących do szkół w nienagannie czystych, białych bluzeczkach, spódniczkach, których kolor i fason każda szkoła dobiera sobie inny. Zostało mi wspomnienie ludzi bardzo urodziwych – filipińskie dziewczęta słyną z urody daleko poza granicami kraju – ale przede wszystkim zawsze pogodnych, uprzejmych, niezwykle gościnnych i serdecznych. Sympatycznym obyczajem jest ofiarowywanie przyjeżdżającym na Filipiny wielkich naszyjników z drobnych, intensywnie i słodko pachnących kwiatków zwanych „sampaguita".

Mabuhay ng Pilipinas, co w języku tagalog, którym posługuje się większość mieszkańców archipelagu, oznacza: „witajcie na Filipinach" – to zdanie, które cudzoziemiec słyszy tu na każdym kroku.

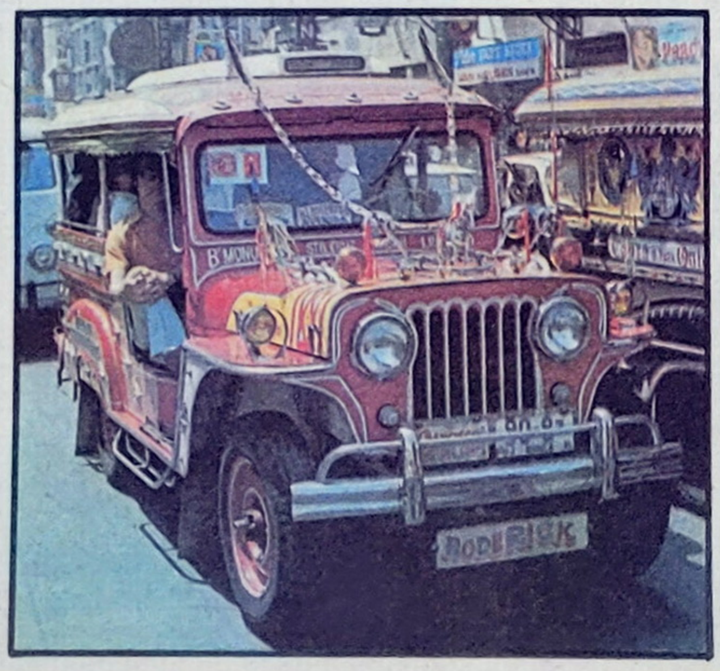

Fot. autorki

Kto mówi że to lekka praca

Ostrożnie, powolutku i... but został w błocku. Pod nogami bajora i rozmokła glina. Za to wystarczy podnieść głowę, by zobaczyć... wielką, ogromną budowlaną machinę. Tak powstaje największe w Polsce osiedle mieszkaniowe, zajmujące powierzchnię sporego miasta.

Szkoła żon

Gdzie pracują te nasze studentki? Blok 601 i 603. Idziemy przez kładki, z trudem przedzieramy się drogą wskazaną w kierownictwie „wykończeniówki". Wprost z błota wejście do bloku. Windy jeszcze nieczynne.

– Łukasiiiik!

– To majster zajmujący się praktykantkami – informuje mój przewodnik. – Łukasiiiik! – Odpowiada tylko echo. Nikogo nie ma. Gdzie się podziały? Przechodzący robotnik, widać lepiej poinformowany, wskazuje dalsze bloki. Tam chyba są – na 616 i 617. Trudno. Brniemy dalej. Między skończonymi domami tworzącymi ciekawe różnorodne bryły mijamy grupę uwijających się przy budowie niskiego pawilonu. Prawie dosłownie doślizgujemy się do „sześćsetsiedemnastki". Butów spod gliny już nie widać. Uwagi w rodzaju „eh, pani, to nie da rady, nie przejdzie" – puszczam mimo uszu. I tu ich nie ma. Pewnie na stołówce. Nie zdążyłam nawet pomyśleć, kiedy z naprzeciwka grupa dziewcząt „tańcząc" w glinie zbliżyła się do nas.

– Byłyśmy na herbacie. Tak wcześnie? Pracujemy od 7.00. Przy zmywaniu farb olejnych i emulsyjnych z podłogi czas pędzi jak szalony. A i apetyt rośnie. A poza tym, proszę pani, o 12.00 przerwę mają wszyscy. Wtedy o herbacie tylko pomarzyć można. Kubeczków brakuje, wody gorącej nie ma.

Barak, jedno niewielkie pomieszczenie, przeznaczony jest na stołówkę. Przy okienku kolejka. I rzeczywiście, nim doszłyśmy, herbatę można już było pić tylko wprost z czajnika. Dziewczyny uprosiły dwa kubeczki i po łyku na 10-osobową grupę starczyło. Przy śniadaniu – pogawędka i... odpoczynek dla nóg. Nie ma dla wszystkich krzeseł.

– Pierwszy dzień był straszny – opowiadają słuchaczki Pomaturalnego Studium Architektonicznego. – Nie wiadomo czym zdrapywać tę piekielną farbę. Chodzenie też sprawiało kłopoty. Buty, które dostały, są jednowymiarowe, a nogi różne. Ale teraz sprzątać, nawet po największym malowaniu, potrafimy. Tylko szkoda, że cały miesiąc robimy wciąż to samo. – Chciałyśmy nauczyć się np. tapetowania, ale to robi inna grupa. A można by przecież na zmianę! Mieszkania za to naprawdę piękne. Wielkie kuchnie, dobry rozkład. Najfajniejsze jest to, że nie ma monotonii. Bloki mniejsze, większe, z różnokolorowymi klatkami. Stoją na wzgórkach i pagórkach. I, proszę pani, są tu normalne, wielkie drzewa. Nie trzeba czekać aż wyrosną!

– Czy obejrzałyście już całe osiedle? Nie, miała być wycieczka, ale jakoś na razie cisza. Chociaż naszą szkołę nazywają „szkołą żon... architektów", to my mamy zamiar naprawdę pracować w budownictwie i taka wycieczka przydałaby się. Dziewczyny wracają do swych zajęć na 616 i 617 marząc, by do sprzątniętych „na czysto" mieszkań nie weszły ekipy tynkarzy czy malarzy. Bo cała praca wtedy idzie na marne.

Nie da rady tymi taczkami

Po wąskiej desce, przerzuconej przez rozmokłą glinę człowiek pcha przed sobą taczkę pełną zaprawy. Co 1–2 metry przymusowy przystanek i... walka o wciągnięcie zarytej w błoto taczki z powrotem na deskę. Po długich zmaganiach robotnik dowiózł do miejsca przeznaczenia ciężar i tam... pojazd przewraca się, wylewając całą zawartość. Z niemych gestów człowieka, dość gwałtownych, domyślam się jego uczuć. Cała ta bezgłośna scenka odbywa się tuż pod gigantycznym dźwigiem przenoszącym bloki prefabrykatów. Do zrezygnowanego „taczkarza" podchodzi majster.

– Panie majster, przecież to nie da rady tymi taczkami wozić! Ciągniki na tę glinę by się przydały.

– A przydałyby się, ale nie ma, a robić trzeba.

Majster – Marian Żurowski – pracuje w mieszkaniówce już 26 lat. Zaczynał jako posadzkarz. Na MDM-ie, Muranowie i innych osiedlach. Dziś wchodzi ze swoją grupą tuż po montażystach i tuż przed „wykończeniówką". Poprawia tynki, kładzie tapety. Łata to, co rozwalili instalatorzy.

– To prawda, że mogłoby być więcej ciągników, ale... kiedy ja zaczynałem, to i marzyć o tym nikomu nie przyszło do głowy. Teraz są agregaty z przepompownią podającą zaprawę wprost do bloku i windy „alimaki" jeżdżące na konstrukcji metalowej wzdłuż budynku. To wszystko przyspiesza robotę. Jasne, zdarza się, że i jedno, i drugie wysiada. Bo tak jak teraz np. prądu nie ma. Gdzieś na budowie kabel „rozkwasili". Ale kto powiedział, że to lekka praca?! Najgorszy mróz. Bloki jeszcze nieogrzane i ręce grabieją. Wystarczy 2 dni ulewy, jak ostatnio, i całe piwnice zalane. Trzeba wypompowywać wodę. Dodatkowe zajęcie, a terminy wydłużyć się nie chcą.

– Czy wszystko gra? Myślę, że grałoby, gdyby nie pierwsze budynki tak pośpiesznie stawiane, że nie doprowadzono do nich wszystkich podziemnych instalacji!!! Nie było czasu. Ludzie czekają w kolejce na mieszkania. Ale na nas mści się to do tej pory. Domy stały gotowe i dopiero wtedy rozkopywano teren układając przewody gazu, ciepła. Każdy chce pracę na swoim odcinku skończyć jak najszybciej, ale robić trzeba z sensem. My, tynkarze, wygładzamy, „wypieszczamy" te ściany, a dekarze kończą dopiero swoją robotę. Przez szczeliny dachu deszcz zalewa nasze dzieło. No i po co to komu? Podwójnie, potrójnie robić to samo. Ludzi szkoda, bo się buntują i mają prawo. No i energii tych ludzi też szkoda. Rzeczywiście, coś tu nie tak – myślę – muszę dowiedzieć się, co z tymi dekarzami.

Kałuża – miejsce spotkań

Idę jeszcze dalej w głąb Ursynowa. Pytam mijającego mnie budowlańca o drogę do budynków montowanych.

– Najlepiej, proszę pani, iść prosto i skręcić przy... rzeźbach w lewo. Tam się pani spyta.

– Jakie rzeźby? W środku rozkopanego terenu?! Może to nowy zwyczaj poprawy warunków estetycznych na placu budowy? Intrygujące rzeźby okazały się własnością artysty, który widać bierze natchnienie z budowy. Codziennie, kiedy tylko deszcz nie pada na wydzielonej działce błota, bo nie na ziemi, rzeźbiarz pracuje z dłutem w ręku, tworząc z ogromnych bloków piaskowca swoje własne wizje.

– Szuka pani majstra brygady montażowej? To tam, już niedaleko. Nie, nazwiska nie znam. Ale łatwo go rozpoznać, gruby, stary i z wielką brodą.

Idę niepewnie we wskazanym kierunku. Niepewnie, bo opisowi majstra towarzyszyły znaczące uśmiechy. Doszłam do barakowozów i znowu pytam o drogę młodego chłopaka z radiotelefonem zawieszonym na ramieniu.

– A to ja, we własnej osobie.

– ???!!!

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Fot. J. Łopuszyński

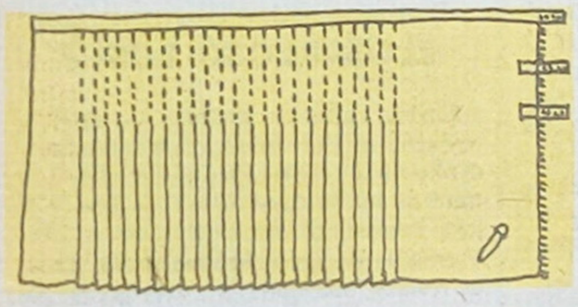

PLISOWANE SPÓDNICE

DOM MODY świata młodych

Stało się tak, jak przewidywałam – spódnic plisowanych coraz więcej, coraz częściej stają się one niemal niezbędne w jesienno-zimowym zestawie garderoby. Myślę, że jest to związane z tendencją do usportowiania naszego stroju w ogóle, w której to tendencji spódnica plisowana mieści się jak ulał. Wszak to szczególnie do nich pasują sznurowane półbuty na płaskim obcasie, grube wełniane podkolanówki, berety (niekoniecznie z pomponami)...

Plisowana spódnica prosta (szyta z prostego materiału układanego prostopadle do swej szerokości w plisy) najlepiej wygląda (niestety, znowu zastrzeżenie!) na dziewczynach wysokich i szczupłych. Z kolei jednak będąca przebojem sezonu tzw. solejka nie stwarza już takich rygorów sylwetkowych – jak każda rzecz ze skosu nieźle prezentuje się i na osobach bardziej... okrągłych. Solejka jest to bowiem plisowana spódnica krojona z klosza. Potrzeba na nią obłąkańcze wręcz ilości materiału, ale za to cudownie się układa, a rozszerzające się od góry ku dołowi plisy ślicznie wirują w czasie poruszania się.

Innym przebojem (bardziej skromnym materiałowo) jest tzw. spódniczka szkocka, czyli wzorowana na ludowym stroju Szkotów. Ta jest uszyta z prostego kawałka materiału i to nie tyle uszyta, co wszyta w pasek, bo zawija się ją portfelowo dookoła siebie. Ten kawałek, co po zawinięciu zostaje z przodu, powinien być całkiem prosty (prosto wszyty w pasek), wszystko pozostałe – jest drobniutko plisowane, z tym że plisy te są od paska do wysokości połowy bioder zastębnowane, a dopiero niżej puszczone luźno. Założona z przodu poła powinna być wykończona frędzelkami (wyskubane nitki), zapięta na trzy sprzączki oraz spięta u dołu dużą metalową agrafką. No i oczywiście powinna być ta spódniczka w dużą czerwono-zielono-granatowo-żółtą kratę. Rozłożoną przedstawia rysunek. Oczywiście, do wykonania jej potrzebna jest umiejętność szycia na maszynie (stębnówek nie da się wykonać ręcznie), ale poza tym rzecz jest w robocie całkiem prosta.

Plisowanki występują również w spódnicach uszytych z piętrowych falban (echo lata). Nie jest to oczywiście ciuch zbyt praktyczny i na co dzień raczej bym z niego zrezygnowała, ale kombinując sobie jakiś stroik o charakterze bardziej wyjściowym – warto wziąć tę możliwość pod uwagę.

RIUSZKA

GWIAZDOZBIÓR

INDYWIDUALNOŚCI ŚWIATOWEGO KINA

Jeden z najbardziej znanych reżyserów radzieckich, twórca monumentalnych epopei „Wyzwolenie" i „Żołnierze wolności", laureat Nagrody Leninowskiej

JURIJ OZIEROW

W Związku Radzieckim i poza jego granicami dużo się ostatnio pisze i dyskutuje w prasie filmowej o tzw. kinie politycznym. Choć samo to pojęcie nie jest nowe, jest ono rozpatrywane pod kątem nowatorstwa formy tego rodzaju filmów. A dzieje się to za sprawą Jurija Ozierowa, którego monumentalne, wielogodzinne epopeje wojenne „Wyzwolenie" i „Żołnierze wolności" wywołały falę zainteresowania tego rodzaju twórczością. Jego dwa ostatnie filmy nazywają epopejami, ale w istocie wymykają się one tego rodzaju klasyfikacji. Epopeje – bo reżyser drobiazgowo relacjonuje w nich długi okres ujęty w sztywne ramy, które wyznacza wojenny czas – ale równie dobrze możemy nazwać te filmy eposami jako że ich tematem są bohaterskie czyny uczestników ostatniej wojny. Możemy też uznać oba filmy za znakomite dramaty psychologiczne, ukazują bowiem ludzi, ich rozterki, słabości i siłę. Są to więc filmy, które opowiadają o jednym z najbardziej złożonych okresów w historii europejskiej, ale nie w formie beznamiętnego opisu historyka czy dziejopisa, bo stanowią zapis życia, który nie upraszcza, nie porządkuje przeszłości i nie unika nawet sprzeczności. W „Wyzwoleniu" patetyczną wymowę bohaterskich czynów osłabia dramat, jaki przeżywają zwykli ludzie, dla nas często już bezimienni, których do tych czynów niejako zmuszała wojenna rzeczywistość. Tragedia przeplata się tu z komedią, prawie dokumentalny zapis z pełnym najwyższej poezji spojrzeniem artysty. Tak jak w życiu, w którym nie sposób przeprowadzić podziału na gatunki.

O „Wyzwoleniu" napisano już wiele, również i na naszych łamach, i pewnie jeszcze niejeden teoretyk kina weźmie ten film na swój warsztat badawczy. Ostatni film Jurija Ozierowa „Żołnierze wolności" jest bardzo bliski w swym charakterze „Wyzwoleniu", lecz jest jeszcze bardziej zaangażowany, i dosłownie w każdym epizodzie przejawia bezkompromisowy sąd jego twórcy o tamtych czasach. Cztery serie, właściwie cztery pełnometrażowe filmy panoramiczne. Praca nad nimi trwała trzy lata i prócz radzieckiej zaangażowane były w nią kinematografie Polski, Węgier, Bułgarii, Rumunii i Czechosłowacji. 250 znanych aktorów z różnych krajów Europy i dziesiątki tysięcy statystów. Mówi Ozierow: – *Sama historia stała się scenariuszem. Nie ma w filmie ani jednego wymyślonego epizodu, ani jednej fikcyjnej osoby.* I właśnie w tym wiernym prawdzie historycznej, ale zarazem namiętnym osobistym zapisie kryje się istota nowatorstwa Ozierowa i tajemnica jego sukcesu, bo film oglądają ludzie, którzy sami byli bohaterami tych wydarzeń i ich dzieci, które chcą poznać prawdę o życiu rodziców i dziadków.

Żeby zrozumieć dlaczego Jurij Ozierow z taką pasją zajmuje się tematyką wojenną, w jaki sposób udaje mu się w swoje filmy przelać tyle serca, trzeba się cofnąć przeszło 30 lat wstecz.

Był to rok zakończenia wojny. Z dnia na dzień żołnierze stawali się studentami. W Instytucie Kinematografii w szatni, na wieszakach rzędem wisiały wojskowe szynele, najczęściej spotykanym strojem był znoszony wojskowy mundur. Wśród tych, którzy właśnie odłożyli karabin i dla których otwierał się zupełnie nieznany świat fantazji, poezji i twórczości był też Jurij Ozierow, ledwo co zdemobilizowany major Armii Radzieckiej, 24-letni zaledwie chłopak, ale z piersią całą w orderach. Jego przyjaciele z tamtych czasów, koledzy po fachu – reżyserzy Aleksander Ałow i Władimir Naumow wspominają go tak: *„Chyba nie zmienił się od tamtych czasów. Tylko włosów miał wtedy więcej, no i inną kategorię wagi. Ale zachował te same roześmiane oczy, tę samą delikatność i nieśmiałość."*

Właśnie 30 lat temu Ozierow – obecnie jeden z najbardziej utalentowanych artystów radzieckiego kina został twórcą – wtedy uformowały się jego poglądy na świat, na ludzi, na przeszłość. Wtedy wybrał temat swej twórczości, który do dziś pozostał dla niego najważniejszy. Szkoła dała mu sprawność techniczną w robieniu filmów, pozwoliła usystematyzować doświadczenia, przyniosła wiedzę, ale jego osobowość artystyczna ukształtowała się właśnie w pierwszych dniach wolności. Mistrzowstwo zawodowe Ozierow zawdzięcza w dużej mierze swemu nauczycielowi Igorowi Sawczenko. Wtedy pracował on nad filmem „Trzecie natarcie". Ozierow – student przeszedł dzięki niemu przez młyn, jakim jest prawdziwa praca nad filmem. Był asystentem reżysera, jego pomocnikiem, statystą, aktorem, dekoratorem, nawet architektem, kostiumologiem i rekwizytorem. U jego boku Ozierow z miejsca wszedł w prawdziwie wielką reżyserkę i poznał swój fach, można by rzec, od podszewki. Nauczył się, że prócz iskry natchnienia – film, to jeszcze ciężki znój, praca od świtu do nocy. I dlatego dziś, choć mamy świadomość jak ogromną machiną kieruje Ozierow kręcąc swe filmy, choć pamiętamy o tysiącach jego statystów, o ogromie włożonego w nie wysiłku i masie materiału przez jaką musiał się przedrzeć – nie czujemy się tym przytłoczeni. Poddajemy się reżyserowi i przeżywamy obraz, który nam przedstawia jak życie toczące się własnym rozpędem.

Filmy Ozierowa widzowie zawsze przyjmują bardzo ciepło. „Wyzwolenie" miało w zeszłym roku największą w Związku Radzieckim widownię, dystansując wszystkie filmy krajowe i zagraniczne. Jakie są dalsze plany tego reżysera? Jeszcze ich nie zdradził. Możemy tylko przypuszczać, że będzie to dalszy krok na drodze konsekwentnego rozwoju. Trudno przewidzieć co to będzie, jaka epoka, jaki bohater... Ale jak twierdzą miłośnicy twórczości tego reżysera, film będzie mówił o człowieku, który ma prawo żyć i być szczęśliwym, bo taka jest cała twórczość Ozierowa.

EWA BIELSKA
Fot. **archiwum**

RTS Widzew Łódź. Oto aktualny skład zespołu: Stanisław Burzyński, Wiesław Surlit, Stanisław Kostrzewiński, Paweł Janas, Wiesław Chodakowski, Andrzej Możejko, Paweł Zawadzki, Zdzisław Rozborski, Zbigniew Boniek, Tadeusz Błachno, Henryk Dawid, Tadeusz Gapiński, Andrzej Grębosz, Ryszard Kowenicki, Mirosław Tłokiński, Andrzej Jędrzejczak, Maciej Ciejka. Pierwszy z lewej trener drużyny Bronisław Waligóra.

PRZEBUDZENIE „STARUSZKA"

Jak spaść z konia, to z dużego...

14 września br. *Na słynny Meine Road wybiegają Manchester City i Widzew Łódź. Stawką meczu jest awans do dalszych rozgrywek Pucharu UEFA. Zaczęło się zgodnie z przewidywaniami. Lider angielskiej ekstraklasy już od pierwszych minut pojedynku atakuje non stop. Polski bramkarz, Stanisław Burzyński, ma pełne ręce roboty. Nie upłynął kwadrans gry i jest 1:0 dla Manchesteru. Na początku drugiej połowy meczu tracimy jeszcze jednego gola. Dziesiątki tysięcy kibiców coraz głośniej fetuje zwycięstwo swojej drużyny i chóralnym śpiewem zachęca do kolejnych trafień. Ale oto następuje kontrakcja Widzewa. Ryszard Kowenicki sprytnie podaje piłkę do Zbigniewa Bońka, a ten z całej siły strzela w „okienko" bramki Joego Corrigana. 2:1. Teraz rozpoczyna się prawdziwa wojna nerwów. Zaskoczeni takim obrotem sprawy zawodnicy angielscy, pogromcy najsławniejszych drużyn świata, stosują nawet faule. Za jeden z nich sędzia dyktuje rzut karny. Egzekutorem jest Boniek i... 2:2. Kończy się mecz, na trybunach zupełne zaskoczenie.*

28 września br. *Łódź. Spotkanie rewanżowe. Tony Book trener Manchesteru, jest w dalszym ciągu pełen optymizmu. Wierzy, że awansuje jego zespół. Niestety. Wynik 0:0 przekreśla szansę Anglików. Do drugiej rundy rozgrywek, dzięki golom strzelonym na wyjeździe, wystartuje Widzew.*

Była to bodajże największa sensacja tegorocznego Pucharu UEFA; ostatnia drużyna polskiej ekstraklasy wyeliminowała najlepszą jedenastkę Wysp Brytyjskich.

METRYKA KLUBU

Robotnicze Towarzystwo Sportowe Widzew Łódź należy do najstarszych klubów w Polsce. Założony w 1910 roku, skupiał głównie młodzież z fabryk włókienniczych. W Widzewie zawsze dominowały tendencje lewicowe, co – rzecz jasna – nie ułatwiało jego członkom działalności w latach międzywojennych. W okresie okupacji hitlerowskiej wielu zawodników RTS chwyciło za broń, a niektórzy z nich zginęli w walce z najeźdźcą. Ale nawet w tym czasie, pomimo represji prześladowań, nie zaprzestali uprawiania sportu. Tajne mecze stawały się prawdziwą manifestacją polskości; w otchłani ponurej rzeczywistości były zarzewiem nadziei na lepszą przyszłość.

Niemal natychmiast po wyzwoleniu przystąpiono do odbudowy klubu. Jako pierwsi na stadionie zameldowali się piłkarze. Już w 1947 roku Widzew grał w ekstraklasie. W roku następnym zajął w niej XIV lokatę. Przez kilka kolejnych sezonów występował w II lidze, by w roku 1953 spaść do klasy A. Długo nie mógł wyjść Widzew z cienia potężnego lokalnego rywala – ŁKS. Wprawdzie głośno było o jego bokserach i kolarzach, ale futboliści mogli tylko marzyć o występach w gronie najlepszych jedenastek w kraju. Jednak w roku jubileuszu 65-lecia działalności klubu łodzianie znów przeżyli wzruszające chwile, awansowali do grona potentatów. Drużyną kierował wówczas znany szkoleniowiec, Leszek Jezierski. Początek, jak to zwykle bywa u beniaminków, nie był zbyt obiecujący, ale pasmo porażek szybko się skończyło. Widzew „odsyłał z kwitkiem" nawet tej klasy drużyny co Ruch Chorzów, Górnik Zabrze, Legia Warszawa... Aż wreszcie nadszedł czas, kiedy w stolicy polskiego włókiennictwa coraz częściej zaczęto dzielić sympatie między ŁKS i RTS. „Święta wojna" między obydwoma zespołami zawsze gromadziła komplet widzów. W roku ubiegłym ku zaskoczeniu wszystkich antagonistów Widzewa drużyna sięgnęła po tytuł wicemistrza kraju, strzelając w lidze największą ilość goli – 46.

Obecnie RTS zajmuje bardzo niską lokatę, ale jego kibice twierdzą, że ponownie nastąpią lata sukcesów. W tym przekonaniu utwierdza ich rezultat spotkań z Manchesterem City.

Stadion Widzewa nie jest wielki, mieści zaledwie 25 tys. widzów. Skromnie prezentuje się zaplecze klubu. Obserwowaliśmy niedawno badania wydolnościowe zawodników. Odbywały się one w niewielkim pokoiku, tak skromnym, jak przysłowiowy pokoik pustelnika. Jednak nikt w zespole nie narzeka na złe warunki. Panuje prawdziwie rodzinna atmosfera.

ZŁOŚLIWOŚĆ LOSU?

Chyba żadna z drużyn występująca w Pucharze UEFA nie życzyła sobie pojedynku z Manchesterem City. Lo chciał, że trafił na nią Widzew. Doskonała taktyka, jaką zastosował aktualny trener łodzian Bronisław Waligóra (krótkie krycie każdego rywala), pozwoliła na „rozbrojenie" angielskiego lidera. Ale kolejne losowanie sprawiło jeszcze groźniejszego przeciwnika. Już jutro, w Łodzi, RTS zmierzy się z PSV Eindhoven. PSV również przewodzi w bojach swojej ekstraklasy. Trzeba powiedzieć, że gra bardzo nowocześnie. W klubie występuje rutynowany bramkarz van Beveren (31 meczów w reprezentacji Holandii), Villy van der Kerkhoff (11), Rene van der Kerkhoff (14), van Kraay (12), van der Kuylen (20)... Eindhoven dał się we znaki polskim drużynom. Przed trzema laty wyeliminował on (w Pucharze Zdobywców Pucharu) Gwardię Warszawę, a w 1975 roku (w Pucharze Europy), Ruch Chorzów. PSV trzy razy sięgał po tytuł mistrza kraju, dwa razy zdobył Puchar Holandii.

Jaką taktykę obierze teraz trener Waligóra? Tego, z przyczyn oczywistych, nie udało nam się dowiedzieć. Usłyszeliśmy tylko opinię, że i tym razem Widzew nie sprzeda łatwo swojej skóry. Bronisław Waligóra i sami zawodnicy nie narzekają na fatum losu. Jak spaść z konia – mówią – to z dużego. Przegrana z takimi rywalami nie przyniesie ujmy. Ale przegrywać nie chce nikt.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Fot. **I. Łopuszyński**

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

Rozumiem teraz ten śmiech. To taka zabawa, przerywnik w żmudnej pracy.

Młody mistrz montażu pracuje 8 lat na budowach. Też zaczynał od „fizycznego", od cieśli. Dlaczego wylądował na montażu?

– Wszystko zaczęło się od fundamentów. Widziałem jak to robią przy budowach małych domków jednorodzinnych. A jak się stawia takie fundamenty dla kilkunastopiętrowego bloku? To ta zagadka wciągnęła mnie do zawodu. Budowałem w Krakowie i na Śląsku. Tam było łatwiej. Bloki jednorodne i ustawienie prefabrykatów proste. Tu osiedle ładniejsze, ale kłopoty większe.

Kto mówi, że to lekka praca

– Opowieść przerywana jest głosami z radiotelefonu. „Panie, co pan mówi, że za tydzień. Ja acetylenu i tlenu potrzebuję już dziś. Spawacze nie pracują i jak mamy bez nich budować?"

– O, widzi pani, jak to u nas, ciągle czegoś brak. Wykłócamy się z Fabryką Domów na Służewcu, bo ciągle czekamy na dostawę. Raz idzie wszystko jak w zegarku i potem nagle „pretensje", że za szybko montujemy.

– O właśnie, a jak to jest z tymi dekarzami? – pytam. Coś z kolei wy za wolno działacie. E, nie, to wszystko przez co innego. Bo tynkarze, instalatorzy powinni wchodzić do całkowicie już zmontowanego budynku – tak nas uczyli w technikum. Ale to teoria, w praktyce jak się chce tak szybko dać ludziom mieszkania, stosujemy nową zasadę. „Wykończeniówka" wchodzi wtedy, gdy ludzie mają co najmniej dwa stropy nad sobą. Trochę to niebezpieczne, ale nauczyliśmy się uważać na siebie i innych.

Od strony drzwi barakowozu pada pytanie w stronę mojego rozmówcy:

– Kazik, dasz mi żuraw na 943? Muszę załadować do mieszkań grzejniki. Tak, już idę.

Żegnam się i niechętnie spoglądam na drogę powrotną. Dochodząc do przystanku autobusowego widzę wielką kałużę. Siadam. Myję buty. Do tego ursynowskiego bajora skierowali mnie podobnie obłoceni montażyści – tam buty sobie pani wymyje – mówili. I tu właśnie spotykają się budowlani kończący pracę z wracającymi do swych pierwszych domów mieszkańcami Ursynowa – których w przyszłości będzie na tym największym w Polsce osiedlu aż 150 tysięcy.

MILENA HAYKOWSKA

20 rocznica wystrzelenia pierwszego sztucznego satelity Ziemi zmusza do refleksji, do bilansowania przebytej drogi. Spójrzmy na te osiągnięcia od strony statystyki.

Otóż liczba wystrzelonych dotychczas satelitów wynosi łącznie 2115. W tym: ZSRR – 1163; USA – 847; Francja – 16; W. Brytania – 11; Japonia – 10; Kanada – 8; Chiny i RFN – po 7; Włochy – 4; Indonezja i Australia – po 2; po jednym satelicie wystrzeliły: Holandia, Hiszpania i Indie, NATO – 4, Europejska Agencja Przestrzeni Kosmicznej – 9; INTELSAT – 22.

W tym licznym już gronie państw tylko ZSRR, USA, Francja, Japonia i Chiny dysponują własnymi rakietami, pozostałe kraje korzystają z usług bądź radzieckich, bądź amerykańskich.

Liczba satelitów będących obecnie na orbitach wynosi 942, w tym 446 radzieckich, 414 amerykańskich i 82 pozostałych krajów. Wokół Ziemi krąży również 3405 „odpadów kosmicznych" (resztki rakiet, zbiorników itp.).

W 1975 roku ZSRR umieścił na orbitach 111 satelitów; USA – 30; w 1976 – odpowiednio – 101 i 28.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

Przed lotem każdy kandydat przechodzi długie treningi w komorach ciśnieniowych oraz na tzw. centryfugach, na których bada się wytrzymałość na przeciążenia

KANDYDACI NA KOSMONAUTÓW
z Polski, Czechosłowacji i NRD zakończyli I etap przygotowań

Z okazji 20 rocznicy wystrzelenia pierwszego sztucznego satelity Ziemi odbyła się w Moskwie konferencja z udziałem wybitnych specjalistów radzieckich z różnych dziedzin techniki kosmicznej, medycyny i łączności. Omawiając 20-letni dorobek kosmonautyki uczeni podkreślali praktyczne cele badań oraz ich wielkie znaczenie dla rozwoju nauki i gospodarki narodowej. Perspektywy badań kosmicznych, jak stwierdził prof. B. Pietrow, to kontynuacja tego, co zapoczątkowano przed laty ze szczególnym uwzględnieniem badań biologicznych, szerszego wykorzystania techniki satelitarnej dla ochrony naturalnego środowiska oraz w nawigacji.

Od kilku lat badania kosmiczne w coraz większym stopniu mają charakter międzynarodowy. Na konferencji mówiono o realizacji programu „Interkosmos", w którym uczestniczą specjaliści z krajów socjalistycznych, w tym również z Polski. W ramach tego programu wystrzelono m. in. 17 stacji badawczych „Interkosmos" oraz 5 sond „Vertikal", na których znajdowała się aparatura naukowa zbudowana w krajach członkowskich.

Najciekawsza część konferencji, przynajmniej dla nas, poświęcona była omówieniu przygotowań do międzynarodowych lotów załogowych grupy kandydatów na kosmonautów z Polski, Czechosłowacji i NRD. „Prace przygotowawcze do tego lotu przebiegają pomyślnie i zgodnie z harmonogramem – stwierdził kosmonauta, gen. W. Szatałow. – Kandydaci do lotów szybko opanowują wiedzę teoretyczną, mają dobre postępy w treningach. Zakończył się już pierwszy etap przygotowań i obecnie przyszli kosmonauci pracują pod kierunkiem radzieckich dowódców lotów w ekipach, które polecą na orbitę. Zajęcia odbywają się również w zakładach, gdzie buduje się stacje i statki. Niezależnie od tego, nadal prowadzą treningi".

Na pytanie, czy w najbliższym locie do stacji „Salut-6" krążącej od niedawna wokół Ziemi wezmą udział kosmonauci z krajów socjalistycznych Szatałow stwierdził, że pierwszą załogą, która wykona to zadanie będzie ekipa radziecka. Zgodnie z porozumieniem, jakie w ub. r. zawarły w Moskwie kraje socjalistyczne uczestniczące w programie „Interkosmos", loty kosmiczne z udziałem załóg międzynarodowych odbędą się w latach 1978–1983. Tak więc, najwcześniej dopiero za rok poznamy imiona bohaterów kosmosu z Polski i z innych krajów socjalistycznych.

7 LAT TEMU „ŁUNA-16"
przywiozła z Księżyca cenny ładunek

Od blisko 20 lat Związek Radziecki realizuje szeroki program badań Księżyca. W tym okresie 24 radzieckie stacje międzyplanetarne z serii „Łuna" prowadziły badania w rejonie naszego naturalnego satelity, na pobliskich orbitach oraz na jego powierzchni.

20 września br. minęła siódma rocznica fascynującego radzieckiego eksperymentu na Księżycu mającego doniosłe znaczenie naukowe. Przed siedmiu laty o godz. 9.00 czasu moskiewskiego z automatycznej stacji „Łuna-16", która łagodnie wylądowała na Księżycu, powoli wysunęło się niewielkie urządzenie wiertnicze. W wyznaczonym czasie w kapsule urządzenia odbiorczego znalazł się słupek księżycowego gruntu. Po hermetycznym zamknięciu unikalnej przesyłki, do urządzenia programującego stacji „Łuna-16" nadeszło polecenie z Ziemi: „Przygotować się do startu z Księżyca".

Naukowy ładunek, po raz pierwszy uzyskany poza granicami Ziemi przez automat, ważył zaledwie 100 gram. Jednakże od razu w świecie naukowym wydarzenie to oceniono jako ogromny sukces radzieckiego programu badań kosmicznych za pomocą stacji automatycznych.

Wybitny naukowiec, M. Kiełdysz stwierdził wówczas, że badanie właściwości i składu chemicznego skał księżycowych, jak też określenie wieku Księżyca ma ogromne znaczenie dla rozstrzygnięcia niesłychanie ważnej dla nauki kwestii – pochodzenia i ewolucji systemu słonecznego, zwłaszcza ziemi.

Badając grunt dostarczony przez „Łunę-16", a następnie przez dwie inne radzieckie stacje automatyczne, naukowcy doszli do wniosku, że podstawowe skały Księżyca, kształtowały się prawdopodobnie przed 3,2–4,6 miliardami lat. Wiek najstarszych skał księżycowych zbieżny jest z wiekiem Ziemi i niektórych kamiennych meteorytów, jakie spadły na naszą planetę. Dane uzyskane przy ustalaniu wieku Księżyca, dały podstawę do określenia z dokładnością do pół miliarda lat wieku systemu słonecznego. Jak stwierdził twórca kosmicznej geochemii, członek Akademii Nauk ZSRR. A.P. Winogradow, są wszelkie podstawy, aby zakładać, że kondensacja substancji protoplanetarnej chmury i kształtowanie ciał systemu słonecznego nastąpiło mniej więcej w tym samym czasie co ukształtowanie się Ziemi, tj. przed około 4,6 miliardami lat.

POGODA Z ORBITY

Chciałbym powiadomić czytelników „TOMIKA", że obchodzimy obecnie 10 rocznicę wystrzelenia na orbitę okołoziemską pierwszego sputnika z serii METEOR. Obecnie na orbicie okołoziemskiej znajduje się więcej tych sputników. Sztuczne satelity z serii METEOR ułatwiają synoptykom opracowanie dokładnych prognoz pogody, a także wykrywanie silnych prądów atmosferycznych, na przykład tropikalnych cyklonów, huraganów, tajfunów. Pomagają także w ustalaniu granic lodów na trasach oceanicznych, zwłaszcza wzdłuż Północnego Szlaku Morskiego, szacowanie zasobów wody w lodowcach i świeżych czapach gór. Bogactwo informacji jest więc ogromne. Chciałbym jeszcze dodać kilka zdań na temat działania sputników meteorologicznych. Na każdym z takich sputników zainstalowane są dwie kamery telewizyjne, które wykonują zdjęcia na przemian w cyklu 10-sekundowym. Każda z tych kamer obejmuje „spojrzeniem" pas Ziemi o szerokości 750 km. Zdjęcia mogą być także wykonywane po zaciemnionej stronie naszego globu – służy temu aparatura wykorzystująca promienie podczerwone. Oprócz kamer telewizyjnych znajduje się tam aparatura dokonująca pomiarów i rejestracji promieniowania cieplnego, odbijającego i wysyłanego przez Ziemię w atmosferę. Dzięki temu wiadomo dokładnie nie tylko ile energii Ziemia otrzymała od Słońca, ale także ile oddaje z powrotem. Aparatura sputników rejestruje obraz i utrwala w „bloku pamięciowym" po to, aby po 12 godzinach zbierania informacji przekazać go na Ziemię. Obecnie możemy śmiało powiedzieć, że kosmos przestał już być terenem tylko naukowych eksperymentów, wszedł bowiem na dobre w służbę Ziemi i jej mieszkańców.

Stanisław Matuszczyk
Maleszowice PGR
49-140 Łambinowice

bo coś nie pozwalało mu być codziennym Marcinem i nakazywało ważyć dobrze każde słowo nim je wypowiedział. W towarzystwie Jolki wszystko stawało się łatwe i najzwyczajniejsze, bo nieważne było co sobie myśli, kiedy Marcin stara się być inteligentny i dowcipny, złośliwy i przekorny.

– Dobra, recytuję.
– Jutro. Muszę specjalnie dla ciebie przygotować deklamacje z gestami. I zamówić kostium.

– Śmierci?
– Niekoniecznie. Bałbym się urazić twoją dziewczęcą wrażliwość, jeszcze bym zaczął śnić ci się po nocach.

– A może już się śnisz – to jest powiedziane na tym samym tonie kpiny, który dźwięczał w jego głosie i to może być żart, z którego trzeba się roześmiać.

– Ja ci się śnię?
Nagle Jolka obraża się.

– Wyczep się!
– O co chodzi?

– O nic – już się uśmiecha, chce, żeby zapomnieć o tej obrazie. – Śnisz mi się jako Frankenstein. Wystarczy?

– Wolałbym jako mumia faraona Amenofisa sto dwudziestego szóstego. Był taki film o zemście mumii. Widziałaś?

– Nie widziałam. Fajny?
– Możliwy w każdym razie.

Prawie udało mu się zagadać swój własny niepokój i myśli o czekającym go wieczorem spotkaniu pod SAM-em. Nie będzie niczego planował, przygotowywał, dręczył się pytaniami bez odpowiedzi. Najzwyczajniej w świecie pójdzie i spyta: – „Czego chcesz?" – albo „Co? Znowu mam się pokazać twojej rodzinie? Może być, mam gust" – albo cokolwiek w podobnym guście, a kiedy już to powie, doda, że bardzo się dzisiaj śpieszy w związku z przyjazdem krewnej z Ameryki Południowej i ze stu tysięcy innych powodów. – „Masz coś jeszcze do mnie? To cześć. Ja się urywam".

Jakoś mija ten dzień. Ciurka kwadrans po kwadransie, godzina po godzinie, dzwonią kolejne dzwonki, jedne na lekcje, inne na przerwę, kolejni pedagodzy wkraczają do klasy i unoszą nad pochylonymi głowami kaganiec oświaty płonący jasnym światłem. Jednym słowem dzieje się wszystko tak samo, jak każdego innego dnia, bo niby dlaczego miałoby się dziać inaczej?

Już koło drugiej po południu zaczęło się zmierzchać, późną jesienią mrok zapada bardzo wcześnie.

Jeszcze tylko ostatnie muśnięcie, mieszkanie lśni od zapastowanych klepek i mebli natartych „Polerem", ani odrobinki kurzu, na środku stołu typu jamnik błyszczy legendarny kryształowy wazon. Wazon jest z gatunku monumentalnych, jedyną rośliną, która mogłaby w nim się prezentować w należyty sposób, byłaby dobrze wyrośnięta palma kokosowa. Po mieszkaniu krążą babcia i mama, tę popielniczkę trzeba przestawić, wolałabym serwetę z naturalnego lnu, tu umieścimy fotografię Ewarysta, kupiłam ramkę, nie będę odsłaniać stor, zresztą ta dziura w szybie jest niewielka, może ona nawet jej nie zauważy.

W łazience na tle bezustannego szumu wody ojciec myje packę i miskę, dziury w ścianie zostały starannie zagipsowane, kiedy gips wyschnie, umieści się na nim drewniane ptaszydła i bibułkowe kiwaty, które nie tylko zakryją szpetotę blizn, lecz stworzą z przedpokoju rozkoszny, stylowy kącik. Takiego w każdym razie zdania jest mama.

– Kupiłeś płytę?
– Kupiłem.

Bo, jak się okazuje, rada rodziny uchwaliła nabycie płyty ze śpiewaniem w języku hiszpańskim na wypadek, gdyby gość poczuł się obco i z nagła zatęsknił za rodzinnymi stronami.

– Marcin, adapter.
Adapter działający od lat bez zarzutu, buntuje się przeciwko hiszpańszczyźnie, odzywa się krótki skrzek, a potem seria skrzypów i szelestów.

Cdn.

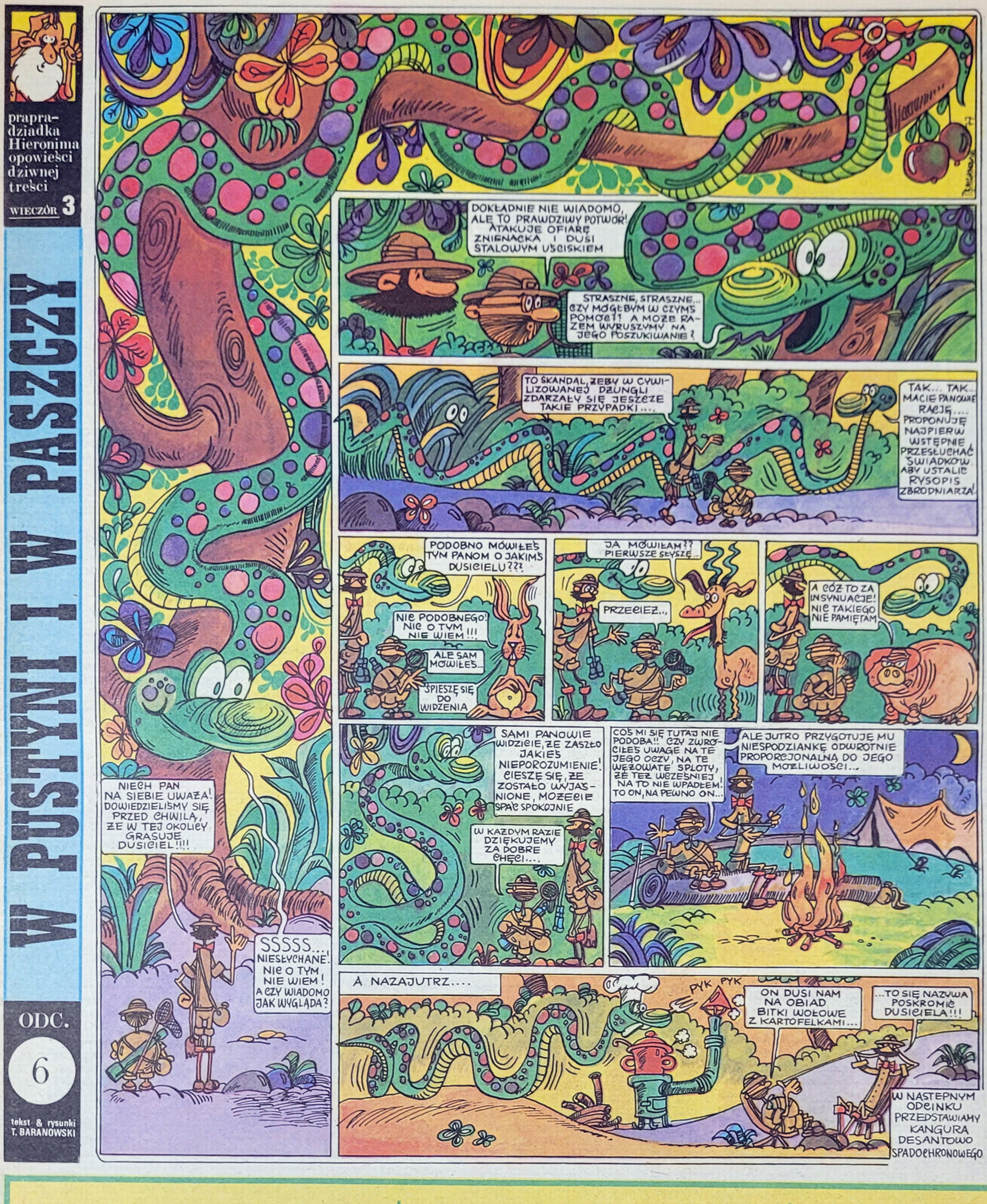

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046

Opracowanie graficzne

Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna

Anna Dąbrowska

Zam. 6262/G F-72

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Warszawa

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

— I on uważa, że to jest znajomy kot, więc nim zacznie gonić za jakimkolwiek kotem, sprawdza czy to przypadkiem nie jest tamten, po prostu go wącha, a jak nie może tego zrobić, to się strasznie obraża. A z kością kładzie się na środku przedpokoju i nikt nie może przejść do kuchni ani do łazienki, bo on warczy i pokazuje zęby, chociaż normalnie jest bardzo łagodny. Pewnie myśli, że my także mamy ochotę na tę kość i daliśmy ją tylko przez pomyłkę.

Nic jej nie przeszkadza, że Marcin wysłuchuje rewelacji o pudlu w grobowym milczeniu.

– Nie miałeś nigdy psa? U nas zawsze jest pies, mama twierdzi, że psy najlepiej wychowują dzieci, A chciałbyś mieć? Znam jednych państwa, którzy mają jamniczkę i mogłabym poprosić o szczeniaka dla ciebie, nie masz nawet pojęcia, jakie śmieszne są malutkie jamniczki, przydeptują sobie uszy i mają pomarszczone pyszczki, jakby były bardzo stare...

Można powiedzieć strasznie dużo na temat maluśkich jamniczków. Ich nosków, ogonków, uszek i łapek, temat jest pasjonujący. Monika czujnie krąży wokół Marcina i Jolki, trzyma otwarty zeszyt i udaje, że coś powtarza, ale naprawdę podsłuchuje. To nie brzmi pięknie, kiedy się stwierdza, że ktoś podsłuchuje, ale to fakt.

Gdy Monika z rozłożonym zeszytem przechodzi jakiś siódmy czy ósmy raz obok nich, Marcin ma ochotę powiedzieć coś do niej, coś nie najmądrzejszego, ale nie mówi nic. Ostatecznie dzisiaj wieczorem zobaczy się z Moniką, a tym samym dowie się czego ona chce. Teraz jest prawie zły na Monikę. Zresztą to wcale nie jest złość, tylko ciekawość, a może współczucie, w ogóle diabli wiedzą co, jakaś obawa (przed czym?), pragnienie, żeby dzisiejszy wieczór przyszedł jak najszybciej i jednocześnie, żeby nigdy nie przychodził, żeby było wreszcie to spotkanie i żeby go wcale nie było.

31 Ewa Nowacka BURZA nad ZLEWOZMYWAKIEM

– Ty nie słuchasz.

– Przecież słucham.

– Na pewno nie wiesz o czym mówiłam – gniewa się Jolka, ona także jest świadoma upartego krążenia Moniki i chyba dlatego wywiera swoje rozdrażnienie na Marcinie.

– Mam powtórzyć?

– Jaki ty jesteś? Czemu się wydziczasz?

– A ty czemu się wściekasz?

– Wcale się nie wściekam. Masz halucynacje.

– Możliwe. Podobno cierpię na lunatyzm, więc mogę miewać halucynacje w ramach pójścia na całość.

– Z tobą nie można normalnie pogadać.

– Dawno o tym wiem. Ze mną się gada wyłącznie nienormalnie, a nienormalnie znaczy nieprzeciętnie.

– Znowu się wydziczasz.

– Czy jak ci zadeklamuję fragment rozmowy mistrza Polikarpa ze śmiercią to będzie to, co chciałabyś usłyszeć? Jeżeli tak, jestem gotów zadość uczynić twojemu pragnieniu.

Jolka chichocze, coś w rodzaju bladego uśmiechu przesuwa się także po wargach Moniki.

Gdyby tak jak z Jolką umiał od pierwszego spotkania rozmawiać z Moniką, byłoby wszystko zupełnie inaczej, tylko nie umiał,

Dokończenie na str. 7